



ROK LVIII

BLUSZCZ TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEK

NR 47

WARSZAWA, 21 LISTOPADA 1925 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Z sali obrad VI-go Kongresu przeciwalkoholowego—*Jan Szymański*. Ognisko pracy oświatowej—*H. C. Kartka* z dziejów katolicyzmu w Rosji w pierwszej połowie XIX wieku (c. d.)—*R. M. Blüth*. Świat kobiecy (c. d.)—*Marja Grossek-Korycka*. Wycieczka do Berna—*Helena Boguszevska*. Zdrada (nowela)—*Władysław Rymkiewicz*. Pan w futrze (nowela)—*Hanna Skarbek*. Piękna Pamela (c. d.)—*Karolina Bielańska*. Zofja R. Nałkowska—*C. Walewska*. Nic ważnego—*Marja Kuncewiczowa*. Kobieta w świecie i w domu—*Z. B.* Z teatrów—*Z. P.* Dział praktyczny: Mody i roboty. Ubranie domowe zrobione szydełkiem, ścięciem naśladowującym kratkę. Rewja mody—*W. L.* Od empire'u do krynoliny—*Spero*. Życie a praca—*N. ka*. Wystawa roślin—*Pani Elżbieta*. Napoje i słodkie dania dla chorych—*J. S.* W sezonie zwierzyny—*Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Dobre Rady. Korespondencje działu praktycznego. Komunikat Biura Prasowego dla spraw kobiecych. Dodatek powieściowy: „Posłannictwo Jasia” (nowela)—*Anna Limprechtówna (Orsyd)*. TABLICA KROJÓW.

Z SALI OBRAD VI-GO POLSKIEGO KONGRESU PRZECIWAŁKOHOLOWEGO



Kongres Przeciwalkoholowy odbył się w Katowicach w dn. 25—27 września. Niestety z dużym opóźnieniem podajemy w „Bluszczu” obraz przebiegu kongresu,—który ze względu na swe szczytne hasło walki z ciężką plagą ludzkości—jaką jest pijaństwo—zainteresować musi ogół szlachetnie myślącego świata kobiecego. Każda polka musi być czynną jednostką w walce z tem strasznym złem, które szarpie nasze społeczeństwo—z alkoholizmem. Każda Polka musi interesować się tem, jak się tę walkę na ziemiach naszych prowadzi!

Zjazd zagał prof. dr. Paweł Gantkowski z Poznania, podkreślając ze wzruszeniem doniosłość podobnego Zjazdu na prastarej ziemi śląskiej, po wiekach niewoli złąconej z Macierzą. Do prezydium weszli: jako marszałek prof. Gantkowski, jako zastępcy: dr. Skalski, dyr. Wojewódzkiego urzędu zdrowia w Łodzi, p. Restorffowa z Warszawy i ks. Czempliel z Katowic. Powitalne przemówienia wygłosili: wojewoda śląski Bilski w imieniu ministra spraw wewn., redaktor Jan Szymański jako delegat Generalnej Dyrekcji Służby Zdrowia, p. Chwalewik jako delegat min. pracy i t. d. i t. d.

Z przemówień powitalnych należy podkreślić słowa dr. Radziwiłłowicza, który zaznaczył, że psychiatrzy polscy na swych zjazdach dorocznych stale zwracają baczną uwagę na sprawę walki z alkoholizmem i w uchwałach swych podnoszą konieczność ścisłego przestrzegania ustawy przeciwalkoholowej; na ostatnim takim zjeździe, odbytym w roku zeszłym w Lublińcu na Śląsku zasadniczym tematem obrad była kwestja alkoholizmu i walki z nim, leczenia alkoholików i sprawa prawodawstwa przeciwalkoholowego. P. Chmieleńska słusznie zaznaczyła, że w walce z alkoholizmem najsilniejszym czynnikiem jest dobry przykład, idący z góry: póty pić będzie włościanin i robotnik, póki widzieć będą, że pije dwór, plebanja, lekarz, aptekarz i nauczyciel.

Obrady Kongresu w zebraniach plenarnych i sekcyjnych stały na wysokim poziomie tak pod względem treści, jak i powagi dyskusji. Prof. Uniwersytetu w Lublinie dr. Strumiłło w wykładzie wstępnym przedstawił niezwykle doniosłą sprawę alkoholizmu wśród młodzieży szkolnej i konieczność walki z tą klęską, w słowach bardzo silnych dał wyraz oburzeniu z powodu nieprzestrzegania przez władze wykonywania ustawy przeciwalkoholowej. Z radością podkreślił prelegent fakt, że młodzież

szkolna częściowo sama rozwiązała sprawę walki z alkoholizmem w szkole przez stworzenie w swym łonie organizacji przeciwalkoholowej w postaci harcerstwa. Tem się tłumaczy fakt zmniejszenia się procentu pijących napoje alkoholowe wśród dzieci szkolnych obecnie w porównaniu z danymi przedwojennymi, niemniej alkoholizm wśród młodzieży szkolnej jest rozpowszechniony i przedstawia objaw niezwykle groźny. Następny wykład wygłosił prof. dr. Gantkowski na temat: Zadania społeczeństwa w walce z alkoholizmem, podkreślając wielkie znaczenie działalności abstynentów drogą przykładu własnego i propagandy. Wielkie wrażenie na audytorjum wywarł referat p. Dedjowej z Poznania o udziale kobiet w walce z alkoholizmem, w referacie swym zaznaczyła prelegentka wielką skuteczność pracy kobiet w walce z alkoholizmem, powołując się na przykłady znakomitych działaczek przeciwalkoholowych w Ameryce i w Anglii, przytaczając nazwiska wybitnych polek, zasłużonych w tej działalności. Kobiety najwięcej cierpią wskutek pijaństwa mężczyzn, to też powinny ze wszystkich sił tej klęsce przeciwdziałać; skuteczną bronią i orężem w tej walce powinien być ich dom własny, który powinien mężczyznę pociągać, aby po pracy z przyjemnością doń powracał; czystość, jasność, pogodna atmosfera w domu i dobra kuchnia odciągną niewątpliwie mężczyznę od picia i zabawy poza domem w złem towarzystwie. Nietylko treść referatu powyższego, ale i niezwykle ujmujący sposób jego wygłoszenia, tchnący głębokiem wewnętrznym przekonaniem prawdy wygłaszanych słów, zjednały p. Dedjowej niezwykle gorące oklaski bardzo liczne audytorjum.

Na posiedzeniach sekcyjnych wygłosili referaty: dr. Kuropatwiński z Drohiczyzna o ustawie przeciwalkoholowej, prof. Uniw. Poznańskiego dr. Kostrzewski o monopolu spirytusowym. Obydwa te referaty były przedmiotem bardzo ożywionej dyskusji, gdyż poruszyły one temat najbardziej żywy dla wszystkich, walczących z alkoholizmem w Polsce. Tak jak jest obecnie — ustawa przeciwalkoholowa, uchwalona przez sejm ustawodawczy, nie jest wykonywana, wskutek czego nie może przeciwdziałać coraz bardziej wzrastającemu pijaństwu — wprowadzenie zaś monopolu spirytusowego jeszcze bardziej utrudnia położenie, gdyż rząd sam ze względów fiskalnych jest zainteresowany w rozpowszechnianiu napojów alkoholowych; jaskrawem przekraczaniem obowiązującej ustawy jest dopuszczenie do zupełnie wolnej sprzedaży wysoko procentowego spirytusu dla celów „domowych i leczniczych”. W dyskusji nad tymi referatami wzięli udział liczni mówcy m. i. prof. Uniw. w Poznaniu Władysław M. Kozłowski, wicedyrektor monopolu spirytusowego Bukowiński, i inni. Na sekcji lekarskiej pod przewodnictwem dr. Radziwiłłowicza, który zagajając posiedzenie zaznaczył, że lekarze sami powinni być abstynentami gdyż, „jestto konieczny warunek wydajności naszych usiłowań w walce z alkoholizmem”, wygłosili referaty: prof. Uniw. w Poznaniu dr. Wodziczko p. t. „Alkoholizm, a zwyrodnienie rasy”, podając wyniki naj-

nowszych badań doświadczalnych uczonych amerykańskich, przeprowadzonych na świnkach morskich i białych szczurach. Badania te, dokonane na ogromnym materiale, wykazały po raz pierwszy w sposób ściśle naukowy fakt dziedziczności zwyrodnienia potomstwa pod wpływem alkoholizmu rodziców. Prof. Gantkowski mówił o leczeniu alkoholików, wykazując na zasadzie bogatego własnego doświadczenia, że jedynym sposobem, który może doprowadzić do zupełnego uleczenia alkoholika jest całkowita abstynencja, ale niezbędnym do tego warunkiem jest, aby tak lekarz, jak i służba, i otoczenie chorego byli całkowitymi abstynentami. P. dr. Zofja Rzeczycka przedstawiła wyniki badania statystycznego, przeprowadzonego w ciągu ostatnich lat pięciu na klinice psychiatrycznej Uniw. Warszawskiego. Wyniki są niezmiernie smutne, bo gdy w r. 1920 wśród ogółu psychoz, psychozy alkoholowe stanowiły wśród mężczyzn 2.06%, a wśród kobiet 0% — to w roku bieżącym wśród mężczyzn stanowią one 27%, a wśród kobiet 5%. Dr. Radziwiłłowicz zaznaczył, że gdy w roku 1919 i 1920-ym był ogromny brak dla demonstrowania na klinice słuchaczom chorych na psychozy alkoholowe, to obecnie chorych takich jest nadmiar niezwykle.

Podczas Kongresu odbył się cały szereg specjalnych zebrań m. i. wojskowych i policji pod przewodnictwem Gen. Horoszkiewicza, gdzie dłuższy referat wygłosił prof. dr. Gantkowski, odbyły się też specjalne zebrania kolejarzy, młodzieży i t. d. Dr. Hercod na liczne zebraniu towarzyskiem wygłosił w języku francuskim odczyt o prohibicji w Ameryce. Prelegent na podstawie własnych obserwacji stwierdza niewątpliwie dodatnie wyniki zakazu; w Europie szerzą się systematycznie ujemne wiadomości o skutkach zakazu, które są rozsiewane przez specjalne biuro, zorganizowane przez wielki kapitał alkoholowy, obawiający się wprowadzenia podobnej reformy w którymś z państw europejskich. Dr. Hercod, który już kilkakrotnie odwiedzał Polskę i jest prawdziwym naszym przyjacielem, był na Zjeździe przedmiotem gorącej owacji. Podczas Kongresu urządzone specjalną wystawę przeciwalkoholową, na wystawie tej zwracały uwagę tablice wydane nakładem Gen. Dyr. Służby Zdrowia, które powinny się znaleźć we wszystkich szkołach, poczekalniach dworców kolejowych, w sądach, urzędach gminnych i t. d. W teatrze wystawiono dramat Zenona Parwiego p. t. „Knaipa”. Reżyserja sztuki i znakomita gra artystów wywarły na widzach ogromne wrażenie. W Zjeździe wzięła udział delegacja m. Łodzi, która zjawiała się na Kongres ze specjalnie wydaną cenną pracą zbiorową p. t. „Miasto Łódź w walce z alkoholizmem”. Nar. Org. Kobiet przysłała kilkanaście delegatek z rozmaitych swoich kół.

Nawiasowo należy tu dodać, że w przykry sposób raziła nieobecność na Kongresie przedstawicieli Ministerjum Oświaty. Szereg referatów dotyczących wyłącznie spraw wychowawczych — nie zdołał zainteresować tych Panów — smutny, bardzo smutny to objaw!

Uczestnicy Kongresu złożyli wieniec u stóp pomnika powstańców Górnośląskich, przemawiali przytem serdecznie ks. T. Gałdyński w imieniu komitetu organizującego Kongres i red. Przybyła w imieniu Związku powstańców. Uczestnicy Kongresu po nabożeństwie uroczystem w kościele przeszli w pochodzie przez miasto do teatru, gdzie odbywały się obrady, poprzedzeni przez orkiestry policyjną i kolejarzy. Ogólne wrażenie z Kongresu było wysoce dodatnie, gdyż były to obrady ludzi, oddanych idei służby dla dobra Ojczyzny nie w imię haseł kla-

sowych czy partyjnych, ale w imię haseł odrodzenia narodu, pomyślności i potęgi państwa.

Wiele pracy w organizację Kongresu włożył ks. Gałdyński, a w prowadzeniu Kongresu zasłużył się nieznużony i znakomity przedwodniczący jego prof. dr. Paweł Gantkowski. Następny Kongres ma się odbyć za rok we Lwowie.

Na Kongres nadesłano bardzo dużo telegramów powitalnych m. i. od ks. kardynała Dalbora i wielu biskupów polskich.

Jan Szymański.

„OGNISKO PRACY OŚWIATOWEJ”

Nareszcie coś na większą skalę! Nareszcie coś zbliżonego do Europy! Dotychczasowe bowiem dzieła stowarzyszeń społecznych — to albo, urągający wszelkim pojęciom o zdrowotności i kulturze barak Czerwonego Krzyża, albo drewniak na Grochowie, mieszczący kilka matek z zagłodzonymi niemowlętami, albo klub dla dziewcząt pracujących, gnieźdzący się w jednym ciasnym i brudnym pokoiku i t. d. i t. d.

Idę ulicą Wolską i przypominam ją taką, jaką była za potępieńczych czasów niewoli, i porównywan...

Bądź co bądź, jest postęp kolosalny. Tchnienie wolności wyzwoliło już jednak znaczny procent sił twórczych społeczeństwa. Nie tyle oczywiście, ile byśmy pragnęli, nie tyle, by zatrzeć wiekowe dzieło dewastacji kulturalnej, prowadzone tu przez Rosję! Ależ pamiętajmy, że łatwiej zawsze jest niszczyć, niż tworzyć.

Powyrastały placówki kulturalne na ubogim przedmieściu, bo do nich zaliczyć trzeba i kino, które daje właśnie „Rasputina” i Teatr Popularny, grający codziennie przed tłumami wzruszonej publiczności „Śmierć Okrzej”.

Nawiasem mówiąc przypominam, że Br. Bakal, autor „Rzezi Pragi” i „Śmierci Okrzej”, i kilku innych sztuk ludowych, grywanych z takim powodzeniem na Pradze i na Woli — to wychowanek tajnych szkół naszych, a potem szkół Macierzy... Tak to naoczenie stwierdzić można, jakimi kornieniami teraźniejszość tkwi w przeszłości.

Ulica Wolska jest dosyć czysta, ma duże i dobrze zaopatrzone sklepy, bardzo przyzwoicie wyglądającą cukiernię.. Tego wszystkiego nie było dawniej, za onych czasów, gdy się tu przychodziło na

lustrację tajnych szkółek. Ale była tu jak i dziś ludność krzepka, choć uboga. Dziwnie gorąca, skoro do bitki i awantur, ale też tak, jak nigdzie, rwąca się do oświaty; skłonna do wszelkich konspiracyjnych i rewolucyjnych akcji.

Wszystkie tajne organizacje miały tu najwięcej zwolenników. Bo Wola, ze swemi heroicznymi wspomnieniami — to warszawskie „Przedmieście św. Antoniego”.

Pod Nr 44 mieści się „Ognisko Pracy Oświatowej”. To już nie jeden pokój... to gmach 4-piętrowy. Nie wznosił go wprawdzie, ale wynajął na 6 lat, przerobił z gruntu i odnowił „Skarb Pracy Kulturalno-Oświatowej”.

Tak mało słyhać o tej instytucji!

Powstała w r. 1922, jako związek kilku stowarzyszeń. Dziś należy do niej 15 organizacji, a mianowicie:

1. Zrzeszenie Samorządów Powiatowych.
2. Instytut Oświaty i Kultury im. Staszica.
3. Centralne Biuro Kursów dla Dorosłych.
4. Polskie Towarzystwo Krajoznawcze.
5. Związek Bibliotekarzy Polskich.
6. Centralny Związek Kółek Rolniczych.
7. Centralny Związek Młodzieży Wiejskiej.
8. Związek Teatrów Ludowych.
9. Wydział Oświat. Zw. Zaw. pracown. Kolej. Rzplitej Polskiej.
10. Polskie T-wo Emigracyjne.
11. Zw. Pol. Naucz. Szkół Powszechnych. Wydział oświaty pozaszkolnej.
12. Zw. Pol. Stow. Spoż. Wydz. Propag.
13. T-wo Bibliotek Powszechnych.

14. Powszech. Uniw. Korespondencyjny.

15. T-wo „Świetlica”.

Pozatem do „Skarbu” należą także pojedynczy członkowie, popierający; składka ich wynosi 3 zł. rocznie.

„Nie zaspakajanie bieżących potrzeb organizacji oświatowych, lecz szeroko pojęte inwestycje w dziedzinie pracy oświatowej będą przedmiotem głównej troski „Skarbu”, pisano w r. 1922 przy zakładaniu instytucji.

Pierwszą realizacją tego poglądu jest „Ognisko Pracy Oświatowej” na Woli.

Za kilka lat powstanie własny już „Dom Pracy kulturalno-oświatowej”. Ministerstwo robót Publicznych „Skarbowi” podarowało już na ten cel tereny (w okolicach kolonji Staszica) obszaru 6000 metrów kw. Tam zacznie się budowa wielkiego pałacu oświaty polskiej.

Tymczasem warto zwiedzić „Ognisko” przy Wolskiej.

Gospodarz instytucji, p. Sosiński, z nadzwyczajną uprzejmością oprowadza mnie i udziela informacji.

Zaczynamy od 4-go piętra. Mieszczą się na niem 2 sypialnie męskie, 1 żeńska, sala wykładowa, sala biblioteczno-seminaryjna. Przeznaczono ją na przyjęcie t. zw. kursów krótkoterminowych, z których uczestnikami, w przeludnionej Warszawie, zwykle tak trudno dać sobie radę. Toż samo na 3-ciem piętrze. Tam nadto znajdują się mieszkania prywatne i kancelarja kierownika instytucji. Całe drugie piętro zajęło w tym roku Studium pracy społeczno-oświatowej na Wolnej Wszechnicy. Studjujący mają tu swoją bursę. Jest ich ogółem osób 16 — kobiet i mężczyzn. Mają tu sypialnie i pokoje do pracy. Korzystają z kuchni miejscowej, z ła-

zienek i pryszniców. Posiadają pewnego rodzaju autonomię. Przyszli do gołych ścian i sami za pieniądze „Skarbu” przyozdabiają swoje pokoje i organizują życie wewnętrzne Bursy. Pokoje mężczyzn są jeszcze dosyć puste, ale u pań, wszystko wygląda już po domowemu. Abażurami przysłonięte lampy, rośliny na półkach i stołach, jakieś serwety i kilimki wszystko to, przy wielkiej zresztą prostocie urządzenia, daje jaknajmilsze wrażenie i jakiś dobry nastrój do pracy.

Na 1-szem piętrze mieści się dosyć duża (na 120 osób) sala zebrań, odczytów, teatrów amatorskich (estrada, scenka). Sala ta służyć ma także na ćwiczenia gimnastyczne. Dokoła staną szafy z książkami.

Po drugiej stronie są tak zwane „hale wycieczkowe”, obliczone na liczniejsze wycieczki, w porze letniej przybywające do Warszawy.

Sypialnie te urządzone już będą więcej po obozowemu. Podwójne kondygnacje łóżek pozwolą pomieścić większą ilość wycieczkowiczów. Podczas zimy sale te zamienią się na pokoje gościnne, gdzie każdy oświatowiec otrzymać może nocleg za cenę 1.80 na dobę. Właśnie odbywający się w stolicy zjazd

inspektorów szkolnych korzysta z tej gościny.

Na 1-szem piętrze znajduje się także bardzo miła sala jadalna, przeznaczona dla stałych mieszkańców Bursy.

(Nawiasem mówiąc i kursy krótkoterminowe mogą za odpowiednią opłatą korzystać z kuchni miejscowej).

Dwa małe pokoiki odstąpiono Tow. Świetlic przy Kursach dla dorosłych i Kursach dla młodocianych.

Parter przeznaczono na kuchnię, szatnię, wielką umywalnię dla mężczyzn, oraz składy żywności, opału i t. d. Tu jeszcze przebudowa nie całkiem skończona. Chodzimy wśród gruzów, ale jest nadzieja, że niezadługo i ta część budynku doprowadzona zostanie do porządku.

Dodaje, że cały gmach oświetlony jest elektrycznością, posadzki froterowane i że chodzić po nich nie wolno inaczej, jak w sukienkach i pantoflach. Czyż nie Europa? I tu na Woli! Na tej biednej niedyś, takiej dziwnej Woli!

Ze zapotrzebowanie na taką instytucję dawało się oddawna już uczuć, świadczą liczne zgłoszenia o mieszkaniu różnych przybywających z prowincji kursów, świad-

czą także zgłoszenia innego rodzaju. Instytucja funkcjonuje od 1-go października, a już Związek teatrów ludowych proponuje urządzenie stałe co pewien czas popularnych widowisk. Lekarz dzielnicowy pragnie w miejscowej sali wygłaszać popularne odczyty higieniczne. Wydział kultury i oświaty Magistratu m. Warszawy zgłasza również zapotrzebowanie na salę dla wykładów, pogadanek, odczytów i przedstawień i t. d.

Jednym słowem, teren ten jakkolwiek wydaje się narazie bardzo obszernym, z pewnością niezadługo nie będzie mógł już odpowiedzieć potrzebom lekceważonej przez pewne czynniki, a jednak z żywiołową siłą rozrastającej się, oświaty pozaszkolnej.

Wyobrażam sobie, jaką szaloną radością napełniłyby się dusze dawnych oświatowców, gdyby im danym było na takim terenie rozwinąć swoją działalność, duszom głodnym duchowego chleba rozdawać skarby swoich umysłów i serc.

Ale ani Brzeziński, ani Łazarowicz, ani Dzierżanowska z estrady tej mówić nie będą...

Odeszli przed porą świtu. Idą nowe pokolenia. Nowi działacze. Idzie nowa Polska. H. C.

R. M. B L Ü T H

KARTKA Z DZIEJÓW KATOLICYZMU W ROSJI W PIERWSZEJ POŁOWIE XIX W.

(KSIĘŻNA ZINAIDA WOŁKOŃSKA)

Zaczyna bowiem słynąć, jako pobożna, gorliwa katoliczka, znana w Rzymie filantropka i zapalona prozelitka.

Przyjaciele zaczynają się niepokoić o Szewyrewa. Pogodin uporczywie przywołuje go do Moskwy. Stara się dla niego o katedrę po zmarłym Mierzłakowie. „Przyjaciel Moskal” Melganow dyskretnie przywołuje samą księżnę „na świętą Ruś, w objęcia Macierzy”.

Trochę inaczej patrzy na te sprawy car Mikołaj... Nie zezwala na przyjazd. Wiele kłopotów będzie musiała znosić księżna z tego powodu.

Źródła rosyjskie więcej nic prawie nie podają¹⁾.

Nie mając dzieł, a przede wszystkim korespondencji księżnej — drogą pośrednią, przeważnie ze źródeł polskich, czerpiemy fakty bio-

graficzne z tego drugiego okresu jej życia. Odzwierciedlić to może jednak tylko stronę, ale dla nas stronę najsympatyczniejszą. W dalszych rozważaniach starać się będziemy przedstawić przyjaźń Wołkońskiej z Mickiewiczem i jego przyjaciółmi Zmartwychwstańcami. Zobaczymy, że mimo tak zwężonego tematu, postać Wołkońskiej dość wyraźnie się zarysuje.

We wrześniu 1829 r. — pisze list z Rzymu. Jest to odpowiedź na niezachowany list Mickiewicza.¹⁾

¹⁾ Udreka dla biografy Mickiewicza jest niekompletną materiału biograficznego. To, co pozostało z materiału „pierwszej ręki” — to jakieś ułamki. Korespondencja z Wołkońską jest niekompletna, zupełnie zaś brak listów do ks. St. Chołoniewskiego. Nie trzeba chyba dodawać — że na tym biografja psychologiczna ucierpiała bardzo.

Cieszy ją to, że jak przekonać się mogła z listu, „idee i uczucia jego są w harmonii ze sobą”.

Widocznie na jego prośbę — udziela mu wskazówek turystycznych.

Radzi by się zatrzymał dłużej w Perugji. „Znajdzie tam Pan wiele pamiątek po św. Franciszku”.

W Rzymie po przyjeździe Mickiewicza gości go u siebie. Zaprzyjaźniają się teraz bardzo. Zna wszystkich jego przyjaciół: ks. Chołoniewskiego, Ankiewiczów...

W jej salonie poznaje Mickiewicz czarującą Chlustin'ównę, z którą wiedzie salonowe boje. Chlustina wychodzi potem za Sireourta, słynnego dyplomata.

O przyjaźni wielkiej świadczy przejście na „Ty”.

W 1829 r. nagłówek listu brzmi: „Cher et bon Monsieur Mickie-

wicz", w 1831 r. „Mon cher Adam et excellent ami“.

Wytworna patrycjuszka kościoła musiała wraz z innymi katolikami przeżywać ciężkie chwile.

Nad kościołem unosiły się posępne chmury rewolucji.

Mickiewicz, po roku spokojnego życia rzymskiego, roku czerpania intensywnego ze skarbnicy Prawdy — znowu był na wielkie próby narażony. Zaczęło się to od wybuchu powstania listopadowego. Marzył wtedy o szczęściu domowym, lecz jak Konrad Wallenrod „szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w Ojczyźnie“. Nie znalazł, biorąc rzecz po ludzku, szczęścia i w „domu Bożym“ — kościele, o którym także za bytności w Rzymie myślał wiele i czuł z Nim wiele.

Na czas pewien, po powrocie, z bezcelowej poznańskiej tułaczki — losy własne połączył z losem wielkiego przyjaciela, księdza Lamennais.

Szedł za nim zrazu, jak wielu tych, których genialny marzyciel porywał za sobą — lecz nie zdawał sobie sprawy z tego, że w ten sposób oddala się od kościoła, a zbliża się do herezji.

Polski wieszcz miał więcej niż inni powodów, by pójść za Lamennais. Znajdywał przecież w tym obozie, głębokie i szczere zajęcie się tragedią swej Ojczyzny. Znajdywał obrońców odważnych, wolnych od egoizmu i tchórzostwa dyplomatycznego.

Dla entuzjasty romantycznego, sprawa przedstawiała się dość prosto — sądził, jak wielu z grupy „Avenir“, — że podróż wodza do Rzymu, stanie się początkiem „nowej ery kościoła“, że kościół uzna Lamennais'go za swego reformatora. Cekał z niecierpliwością na wynik tego... „Świętego Przymierza“.

Inaczej chyba patrzyła na te sprawy ks. Wołkońska, wychowywana teraz przez Jezuitów.

Już wtedy musiała patrzeć na Lamennais, jako na najgroźniejszego z nowatorów.

Jezuici przez cały czas akcji późniejszego autora „Paroles d'un croyant“ — byli konsekwentnymi antagonistami.

Przenikliwy krytyk rosyjski S. Kotlarewski²⁾ między wierszami uchylił najistotniejszą chyba wadę Lamennais'go i „Avenir“. „Lamennais nie umiał czekać“, a co w gruncie rzeczy jest tem samem — nie potrafił zawierzyć Bogu, Twórcy i Organizatorowi Historji.

Był i on romantykiem-mesjanistą, marzycielem, spodziewającym się nowego Mesjasza — Parakleta.

Każdy mesjanizm cierpi na to samo. Żydzi też nie potrafili czekać, wytrwać i wreszcie doczekać się Zbawcy.

„A jeśli by rzekł on sługa w sercu swoim: Omieszkiwa przyjsć Pan mój i poczałby bć sługi i służebnice, i jeść, i pić, i upijać się;

Przyjdzie pan sługi onego w dzień, w który się nie spodziewa i w godzinę, której nie wie: i oddzieli go, a część jego z niewiernymi położy.“

(Luk. XII 45-46).

Nie tu jest miejsce na wyczerpujące rozważania na temat Mickiewicz a Lamennais. Wymagają one wielkiej psychologicznej przenikliwości — same literackie zestawienia tekstów, dać wiele nie mogą³⁾. Żywot ks. Lamennais, traktowany zupełnie obiektywnie, daje dla poznania psychiki typu romantycznego bardzo wiele, a z drugiej strony staje się dla katolika wiernego nauką budującą. Dowodzi silniej, niż cokolwiek — że jedynie Kościół ma w sobie tajemnicę wiecznego trwania. Nie znaczy to bynajmniej, aby on nie przeżywał wielkich burz, kataklizmów i... krzyża.

Nie wesołe to były lata 1830—1840 dla Kościoła. Podkreślić należy, że w postawie romantycznej, w dziwnej symbiozie żyła prawdziwa negacja i fałszywy idealizm.

Prawdą Lamennais, było wyczuwanie zła płynącego z niewoli, wyzysku, egoizmu ludzi, klas, narodów.

Kłamstwem natomiast było tworzenie złudnych fikcyj „Królestwa

²⁾ S. Kotlarewski. „Lamennais i współczesny katolicyzm“.

³⁾ Studium prof. Kriedla może być przecież traktowane jedynie jako program dla takich studiów.

⁴⁾ Autor ślicznej monografji o Chomjakowie jednym z wodzów rosyjskiego, mesjanizmu (słowianofilstwa), Berdiajew, słusznie rozróżnia „mesjanizm“ wiarę w Chrystusowe powołanie, jakiegoś narodu czy nawet jednostki (towianizm) — od „misjonizmu“ — t. j. normalnego ukochania swego narodu i wiary, że dla realizacji „Królestwa Bożego“, każdy naród, każda klasa społeczna i każda jednostka ma swoje własne powołanie dziejowe. Wyraził to Mickiewicz w zdaniu:

„Każdy niech w swym kółku czyni, co każe Duch Boży — a całość sama się złoży“. Dobrze pojęta taka teza będzie bodźcem do bohaterstwa — a nie synonimem ospałości. Będzie — odwrotnością Snobizmu.

Bożego „na ziemi“, które ot, za ścianą wieku czeka na Zejście i Zwycięstwo.

Kłamstwem był mesjanizm⁴⁾, (a nie misjonizm) i to wszystko jedno jaki: narodowy, plemienny, klasowy, indywidualny. „Mesjanizm“ jest prowokowaniem Boga, wdzieraniem się tam, gdzie „graniczy Stwórca i Natura“.

Jest zarazem stałym nosicielem tragizmu załamania.

Ale powróćmy do korespondencji między wychowanką Jezuitów, a przyjacielem Lamennais'go.

Dobra Wołkońska, wyczuwając, w jakim stanie znajdować się musi poeta po powrocie z tułaczki poznańskiej, po rozczarowaniach paryskich — znowu go usilnie przywołuje do Rzymu, do siebie.

List z 24 novem. 1831.

„Venez, venez vers nous, chez nous! Venez loger chez nous, nous nous arrangerons. Vous verrez, que vos amis vous sont attachés de coeur et d'âme et pour la vie. J'étais fort inquiète de vous, de votre santé et je rends grâces à Dieu de ce que vous nous êtes conservé...“

Vos souffrances sont dans mon coeur, c'est tout vous dire“.

Szlachetna księżna rosyjska, inaczej reagowała na wypadki „wzięcia Warszawy“, niż reszta inteligencji rosyjskiej.

A może w podobny sposób, za wyjątkiem Szewyrewa, późniejszego wstecznika, reagowało całe jej otoczenie, t. j. byli członkowie moskiewskiego salonu.

Ks. Wiaziemskij nie mógł darować Puszkiniowi — jego wierszy szowinistycznych.

W podobny sposób reaguje jeden z „moskiewskich filomatów“ — Melgunow.

Białozierska podaje wyjątek z jednego listu Melgunowa do Szewyrewa z 1831 r.

W liście tym Melgunow, traktujący Szewyrewa, jako wyrocznie niemal — żali się na to, że ten ostatni zachwyca się wierszami Puszkina i Żukowskiego „Na wzięcie Warszawy“.

„Przykro mi — pisze, że chwaliśz Puszkina za jego ostatnie „wierszyki“.

Nie mówię o Puszkinie, twórcy „Godunowa“, był to inny Puszkini, poeta rokujący wielkie nadzieje i starający się je urzeczywistnić. Teraźniejszy Puszkini to człowiek, który zatrzymał się w połowie drogi i który zamiast prosto patrzeć w oblicze Apollina, rozgląda się na strony, i szuka innych bożyszcz, by im w ofierze przynieść swego ducha. Upadł, upadł Puszkini przyznaje, że mi go żal serdecznie“.

(c. d. n.)



MARJA GROSSEK-KORYCKA

F E L J E T O N

ŚWIAT KOBIECY

CZĘŚĆ II.

25

NOTATKI PSYCHOLOGICZNE

Zdziś był czarujący: wrodzona dystynkcja arystokraty, pomimo plebejskiego pochodzenia, wrodzona inteligencja, naturalny intelektu alizm, bez żadnych szkół i uroda. Ale nic więcej: ani fachu, ani majątku, ani stosunków.

A wziął dziedziczkę wielkich dóbr rodowych; piękna, jak hurysa — a mądra... jak polka!

Przedewszystkiem tak się zawiązał, że po paru latach majątek rodowy trzeba było sprzedać — został się tylko znaczny jeszcze kapitał. — Pożycie? — każda brudna, idjotowa dziewczka od krów była mu miłszą od tej żony, pięknej, jak marzenie.

„Kobieto — mówił, ja cię nic nie rozumiem, dlaczego ty się nie bawisz? Jesteś piękna, mężczyźni pożerają cię oczami, co ci przeszkadza używać życia?!.. Czy masz mnie za jakiegoś dzikusa, Hotentota — przypuszczasz, że byłbym w stanie bronić?!.. Ależ ja go sam przyprowadzę — tylko wskaż, kogo? Sam wszystko wyreżyseruję i od skandalu zabezpieczę“...

Żona z tych nadzwyczajnych swobód nie chciała korzystać! Ale... znalazł się ktoś, kto ze złego gustu jej męża skorzystał... i wyciągnął rękę po zaniedbaną, opuszczoną rolę... Przeprowadził rozwód i zaślubił.

Był wielkim panem... stać go było na wykonanie tego wszystkiego w tempie pośpiesznym.

Czarujący Zdziś całkiem nieoczekiwanie ocknął się nagle bez żony (o to mniejsza), ale bez majątku (to gorzej)!

Nie słyszałam nigdy w życiu, żeby tak kogoś szarpali, jak tę kobietę szarpały kobiety! Murem stały wszystkie po stronie porzuconego męża, nawet jej rodzona siostry. Zdawało się, że spaliłyby ją żywcem, gdyby się im w ręce dostała — rozniosłyby ją na kawałeczki zębami i paznokciami.

— A jeżeli opuszczając męża, musi się wyrzec dziecka? Mąż daje rozwód pod warunkiem podpisania strasznego cyrografu, mocą którego matka i dziecko stają się sobie na wieki istoty obce!...

— Samica zdycha, gdy jej odbiorą male... a ta kobieta porzuciła dziecko dla kochanka, bez łyzy jednej... i ani spytała kiedy o niego...

— Ani spytała?!

Czytałam kiedyś w zbiorach Volkloru (po niemiecku) pieśń o matce, która uciekła z domu męzowskiego, od dzieci.

Noc była, gdy je całowała po raz ostatni, śpiące w łódeczkach. Najdłużej klęczała pochylona nad kolebką swego najmniejszego... nie mogąc się od niego oderwać... Ale ją pilił do drogi szept w ciemnościach gorący i rozkazodawczy.

Minał rok, czy dwa, czy więcej... serce matczyne wypatrzyło moment, oszukało czujność, przewyciężyło wszelkie przeszkody. Znowu noc była... wiał wichur gwałtowny — psy wyły w ciemnościach — serce tłukło się szalenie, oczy przez łyzy drogi nie widziały...

Ale do domu opuszczonego zaniosły ją same stopy i pies wierny, który biegł przed panią... Słońce już stało wysoko na niebie, kiedy na ganku ujrzała zdaleka gromadkę swoich dzieci... Jednym sussem bez tchu przypadła do najmłodszego, porzuconego w kolebce... Ale dziecko na widok obcej twarzy z krzykiem z jej rąk się wydarło i schroniło się w objęcia niańki. Jej dziecko jej nie poznało... Jej dziecko od niej uciekło...

Na ten widok chwyciła się za serce i padła na miejscu trupem.

Straszna, jak śmierć, jest miłość kochanki, potężna, jak życie, jest miłość matki! Serce, w którym dwie te potęgi starły się z sobą w morderczym pojedynku... to serce jest jedną raną, która nie zgoi się nigdy i która wiecznie krwawi...

Duma pokrywa go swoją kamienią płytą... Jeżeli nie słyszysz jęku, nie widzisz łez — nie bądź że tak naiwny, aby myśleć, że tam jest szczęście i słodki pokój...

Są po wszystkie czasy tragedje Oresta: albo zabijesz matkę — albo nie pomścisz Cieniów ojca. Od ludzi należy im się miłosierdzie milczenia.

Mając to do siebie, że natura nie uczyniła go przenikliwym, że nie umie poznawać ludzi z jednego rzutu oka, mężczyzna obdarza nieograniczonym zaufaniem najbliższą sobie kobietę i patrzy na ludzi jej oczami.

A z tego wyrasta w jej rękach paleczka magiczna — wielka potęga: opinja. Opinja jest dziełem kobiet — one ją urabiają w swoich zaciszach i wypuszczają na świat bezimiennie: szeptem matron na kanapie, półsłówkiem z pod wachlarza, notatką w karneciku — jak ptactwo z klatki...

A świat je usynawia.

Korzystając z łatwowierności mężczyzny, kobieta często burzy opinję, jaką on sam sobie wytworzył, jednym roześmianiem się. „Jakiżes ty naiwny“! — i podsuwa mu nieraz sąd świadome sfałszowany... Tym sposobem robi sobie swoje z ludźmi porachunki: unicestwia wrogów, proteguje przyjaciół.

Ci, co porobili najbłyskotliwsze kariery z padołów na szczyty, byli przeważnie ulubieńcami kobiet. Kobięce bałwochwalstwo grasuje, jak epidemia, zaraża tłumy...

Niezmordowane, bezinteresowne zapominające na ten raz o rywalizacji, solidarne, gdy chodzi o ulubienca kobiety usuwają mu z drogi skały, budują łuki triumfalne i na ramionach swoich windują na trybuny ludów i na trony, padając same po drodze i swoim trupem zracząc pochód zwycięzcy.

Powieść francuska często teraz podejmuje ten temat.

Co do kobiety — jej opinja jest najczęściej odwrotnie proporcjonalna do jej wielkości.

Wielkość męska, czy żeńska wogóle mierzy się miarą wrogości, jaką wzbudza na świecie.

Ale wielkość kobieca więcej od męskiej — bo zawiść męska jest bladym żartem w porównaniu z zawiścią kobiecą. Ponieważ każda chce być „we wszystkim pierwszą“, wszelka wyższość jest dla każdej rodzajem osobistej obrazy. Zawiść kobieca odbija sobie na wielkiej kobiecie wszystko to, co wycierpiała, zmuszona patrzeć na jej wywyższenie i nawet zmuszona do hołdu.

Historja zachowała wyraźne od-ciski cierpień królowej Barbary, której nawet król mąż nie mógł uchronić od subtelnych, a jadowitych impertynencyj magnatek polskich, nie mogących strawić nie tylko takiego jej wyniesienia, ale nadewszystko... wyniesienia przez tak wielką, niezmierną miłość!

Jeżeli w domu panuje chaos, niechlujstwo, rujnujące rządy sług, zaniebanie dzieci dlatego, że pani domu lata po mieście, po balach i rautach, urządzając amatorskie teatra i wenty — nikt o tem ani wspomni... nikt nie wie o tem, bo jej nikt nie denuncjuje...

Ale jeżeli to wszystko dzieje się dlatego, że pani domu jest uczoną, literatką, lub artystką wysokiej miary — wszystko to będzie wywleczone na forum romanum, a wszystkie „igły” zamienione w widły.

Stanie się przedmiotem nieskończonych rozważań: jedna spalona pieczeń, której „mąż jeść nie mógł”.

Ileż ja się napłakałam, mając lat ze dwanaście, z powodu Orzeszkowej. „Siedź, siedź! w tych swoich książkach — mówiły do mnie surowe matrony, trzęsąc ogromnymi falbanami czepców — becziesz kiedyś tak jak Orzeszkowa kopać nogami swoje dzieci, żęły ci nie przeszkadzały”. Jakże byłam szczęśliwa, gdy wreszcie dowiedziałam się od swego profesora literatury, że Orzeszkowa nie mogła kopać nogami swoich dzieci, bo ich nigdy nie miała! Zjadliwa plotka zatacza olbrzymie koła dzięki temu, że jest dla tych kół szerokich niesprawdzalna.

Gdyby ludzie o tem pomyśleli, może byliby mniej pochopni do przyjmowania wiadomości krzywdzących?

„Ona ma (miała) kochankę”, to oskarżenie zdolne zohydzić

najświetniejszą gwiazdę, na czem też zwykle się opiera? — Zastanówmy się?!.. na jadowitej ślinie! — Są momenty, podczas których z natury rzeczy każdy człowiek zamyka drzwi na klucz. Świadków więc nie może tu być! za wyjątkiem jakichś okoliczności nadzwyczajnych. Prywatna osoba nie posiada takich plenipotencyj, w jakie uzbrojony prokurator posyła policję i „w imieniu prawa” drzwi zostają otwarte we wszelkich momentach. Podejrzenie może się stać stwierdzonym faktem.

Prywatna osoba musi poprzestać na oszczerstwie odpalonego wielbiciela, lub na zeznaniu jakiejś kuchty, która zła na panią za przyłapanie jej ze stangretem, lub na podbieraniu pieniędzy rozpowszechnia, że podpatrzyła przez dziurkę od klucza... przez kółko wycięte w roście.

Ta więc kuchta, kwalifikująca się często do kryminału, staje się osobą tak wiarogodną, że słowa jej przyjmowane są bez krytyki i bez kontroli!!!..

Dzięki tej procedurze kobiety Bogu ducha winne i bardzo często właśnie dlatego lekceważące pozory, miały nieraz opinię fatalną. A czasem znów dopiero po śmierci matron naj urowszych, najprzekładniejszych rodzina znajduje listy w sekretnych toaletkach, które pali czempredziej... bo z nich dopiero wychodzą na jaw mądrze kryte romanse... Gdy więc ustalenie prawdy spotyka się z takimi trudnościami, czy nie rozumniej i nie uczciwiej byłoby nie zapuszczać się w te ciemne gąszcze cudzych istnień i cudzych sumień, które nota bene do nas nie należą i ani nas parzą, ani ziębią... Bardzo mądrze napisał niegdyś malutką książeczkę O wolności Jan Stuart Mill — Są cnoty i występki, mówi filozof, które na świat promieniają dobrze lub źle i dlatego świat ma prawo sądu nad niemi

i reagowania na nie. Ale, jeżeli jestem pijakiem? — to dla mnie oświadczenie bardzo złe! Skoro jednak przepijam tylko własne pieniądze, a spełniam wszystkie obowiązki społeczne i rodzinne, występki mój należy tylko do mego sumienia, które może pozywać na sąd tylko konfesjonał imieniem Boga.

Prześliczną jest niepokalana biel kobiecej szaty, niesplamiona niczem... Jest ona kosztownym jej klejnotem dla jej męża i nawet całej rodziny. Ale, co to może nas wszystkich obchodzić? — co to może obchodzić drugą kobietę?

Ta pani jest bardzo wierna swemu mężowi — niechże mąż uwielbia ją za to na kolanach. Ale mnie bardzo mało to wzrusza. Jąbym przeniosła nad nią Georges Sand, tę bym kochała!... pomimo jej frivolités.

Dlaczego kobiety tak namiętnie szpiegują jedna drugą i denuncjują? Ach, bo to robi ta żyjąca w kobiecie dusza niewolnika. Niewolnik zawsze jeden na drugiego podwodzi, aby zasłużyć sobie na miłościwe poklepanie ręki pańskiej — która niebawem obydwóch świśnie po plecach batem! Wierność kobiety (nawet retrospektywna) była po wszystkie czasy najczulszą żrenicą oka męskiego. W wieku XIX, u szczytu kultury europejskiej, gdy życie ludzkie było najwięcej cenione i ochraniające, we Francji w kraju specjalnie uczuć humanitarnych, kodeks Napoleona sankcjonuje mord na żonie niewiernej. — Tego więc największego „dobra Pańskiego” z taką zajadłością strzeże dusza niewolnika, żyjąca w kobiecie. No, naturalnie chodzi jej także o swój kobiecy interes: zyskuje przez kontrast, wygrywa przez odbicie, męczyzna myśli: „Jeżeli ona wpada w taki gniew święty wobec upadku drugiej kobiety, jakże mruwana musi być jej cnota!”

(c. d. n.)

WYCIECZKA DO BERNA

Zaczynało świtać, gdyśmy przejeżdżali przez graniczną stację Buchs.

Ktoś powiedział: zaraz będą oglądali paszporty. Szwajcarja.

I zaraz wszyscy powstałi z ławek, gdzie drzemali, lub usiłowali drzemać. Stanęli przy oknach. Chcieli oglądać te „Szwajcarię”.

Bo choć urzędnik w szwajcarskim mundurze oglądał nasze paszporty

jeszcze przy świetle lamp, za oknem robiło się już niebiesko.

I w tej niepewnej niebieskości zamajaczyła ściana gór.

Gdy się troszkę rozwidniło, okazało się, że pomiędzy torem, po którym pędził nasz pociąg, a ścianą gór, jest wąski pas równiny. Pas urodzajnej ziemi, doskonale uprawnej. Drzewa owocowe, fasola, kukurydza, półka lucerny, koniczy-

ny. Wśród tego śliczne, wesołe domki białe ze śpiczastymi, wysokimi dachami, z balkonami, werendami, z czerwonymi kwiatami w jasnych okienkach. Pejzaż łagodny, wesoły. Pracowitość, spokój, dostatek.

I z tej bujnej zieloności sadów i pól równiny wyrasta nagle, jakby bez żadnego przejścia, popielata ściana gór, stromych, nagich, jałowych.

Jeszcze w dolnej części tej szarej ściany domki i ogródki wyglądają, jakby nie mogły, nie chciały tak łatwo zrezygnować. Pną się tu i owdzie na szarą skałę, przytulone do niej. Przy nich ogródeczki na skrawkach ziemi, wyrwanej skale. Ogródeczki tak małe, że trudno sobie wyobrazić, jak się w nich mieści pracowity właściciel z polewaczką pełną wody.

Wyżej domków już niema. Zrezygnowały.

Ale trafiają się jeszcze jakieś zameczki na ostrych cyplach. Wyglądają, jak zrosnięte ze skałą, albo z niej powstałe. Wyżej niema już nic.

Zrobiło się już całkiem jasno, ale pochmurno. Z za szarych gór ukazały się inne: wyższe, dalekie i białe. Same wierzchołki okryte śniegiem. Wyglądają jak głowy cukru, jak śpiczaste kopce śniegu. Chmury nachodzą na nie, zasłaniają, odsłaniają.

Na pasie równiny wciąż to samo: cudowna, bujna zieloność, sady, pastwiska, białe domki, czerwone kwiaty w oknach.

I tak aż do samego Berna.

A w Bernie na dworcu i na placu przed dworcem gwar, ruch, tłum ludzi, samochody, tramwaje. Tak, jakby w Warszawie, lub w każdym innym mieście. Zupełnie zwyczajnie.

Z placu przed dworcem skręcamy na lewo — i odrazu robi się „nadmierzalnie”.

Bo czyż jest zwyczajnem to, żeby się szło po chodnikach pod arkadami? Czyż jest zwyczajnem, żeby psy ciągnęły wózki pełne blaszanek z mlekiem? Żeby kamienne figury świętych, rycerzy i niedźwiedzi stały przy starych, omszałych studniach, nie na rogach i placach, tylko tak sobie, w środku ulicy?

Po chodniku pod kamiennym sklepieniem idziemy wśród tłumu

ludzi, jak w pochodzie. Z jednej strony — szereg wspaniałych sklepiów i wystaw, z drugiej kamienne filary, podtrzymujące sklepienie. Na brzegu chodnika odprężone od wózków, psy leżą na derkach, każdy przy swoim wózku. Wesołe jakieś psiska, widocznie zadowolone z życia i ze swej pracy.

Przed starą, zegarową wieżą stoi gromada ludzi z oczyma wlepionymi w tarczę odwiecznego zegara z figurami. Zaczynają się na niej dziać dziwne rzeczy, drewniany kogut porusza skrzydłami i pieje. Arlekin potrząsa dzwoneczkami, jakiś starzec berłem, a niedźwiedź łbem — i to zgodnie z każdym uderzeniem starego zegara.

Bije dwunasta.

Przekupnie zaprzęgają swoje kudłate psy do pustych wózków. Targ skończony.

Pod arkadami wciąż tłumy. Gromadka patrząca na zegar rozeszła się i stopniała, ale już tworzy się nowa. — Czekają, aż drewniany kogut zapieje na pierwszą.

Jednak nie zawsze jest tu tak tłumnie i gwarno. Powiadają, że to tylko teraz, z powodu wystawy rolniczej i dwóch konferencji międzynarodowych. W zwykłym czasie cicho i pusto jest pod arkadami. Tylko przy tym prastarym zegarze zawsze stoi gromadka, czekająca na te dziwy, które się dzieją co godzina.

Ach, i przy „niedźwiedzim dole”¹⁾ nigdy ludzi nie braknie: stoją przewieszeni przez kamienne ogrodzenie i patrzą, jak na dnie łożą niedźwiedzie, grube niedźwiedzi, jak niedźwiedzica kąpie się w basenie i pazurzystą łapą zagarnia rzucane jej marchewki.

Bo Berneńczycy ogromnie lubią te swoje niedźwiedzie. Niedźwiedź

¹⁾ Bärensgraben.

jest w herbie miasta i kantonu. Wszędzie można je widzieć: żywy w niedźwiedzim dole, kamienny stoi przy starej omszałej studni, w zbroi i w hełmie; drewniane, małe niedźwiedzi w każdym sklepie z pamiątkami, i trzymają w łapach naparstki i poduszeczki do szpilek.

Wszędzie pełno tych niedźwiedzi.

Aby się dostać nad niedźwiedzi dół, muszę przejść przez most, kamienny most nad Aarem.

Aar płynie w dole — jasnozielony, czysty, jak kryształ. Za Aarem daleko — góry. Gdy noc zapadnie, na czarnych górach zapalają światła — w domkach w dzień prawie niewidocznych. Cała linja światła zawieszonych w powietrzu wznosi się w górę wysoko, wysoko. To tor kolejki: jutro pojedziemy nią, zobaczymy zdaleka białe Alpy. Ale najpierw musimy obejrzeć lepiej ten stary, piękny Bern, taki dziwny, niepodobny do innych miast.

Najdziwniejszy chyba tu, nad Aarem.

Opieram się łokciami o kamienną balustradę, patrzę w dół, jak w przepaść.

Od brzegu zielonej, czystej, wody staroświeckie domy ze śpiczastymi, łamanymi dachami pną się po spadzistym wysokim brzegu, jak w amfiteatrze, aż na samą górę. Ciasno, ciasno, jeden przy drugim, właściwie jeden nad drugim — Nic, tylko dachy i dachy, jak wieże, tu i owdzie przegrodzane małutkim kamiennym podwórkiem, czy tarasem, na którym suszy się biała bielizna i czerwienią się kwitnące pelargonie w małych skrzynkach.

Jakiż ten Aar zielony i czysty! Jakie te domy stare, jakie śpiczaste dachy! Jak tu ciasno — i jak ci Szwajcarzy umieją wykorzystać każdy skraweczek miejsc!

Helena Boguszewska

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Nowela odznaczona pierwszą nagrodą na konkursie Koła Polonistów Uniwersytetu Warszawskiego

Z D R A D A

[Nowela]



wiek w jesionce z podniesionym kołnierzem, w kapeluszu głęboko

ajeżeli przed dworcem z wielką fantazją, ociekając ręką migotliwego światła na brudne kamienie jezdni. Było kilka minut po dwunastej. Jakiś czło-

nasuniętym na czoło, stanął przy aucie i ledwie dosłyszalnie szepnął w pustkę placu:

— Pan kapitan Czółno?

Czółno wyszedł w milczeniu z auta. Przypochlebne a czujne spojrzenie cywila było iskrą dla przewalania się w kapitanie nowych pokładów irytacji.

Musi to być morowy drań — pomyślał.

— Daleko? — rzucił lakonicznie.

— W porcie — brzmiała odpowiedź.

Czółno szedł za wywiadowcą, przyglądając mu się z pod oka. Mizerny i jakby wystraszone, niczem nie zdradzał inteligencji i sprytu, jakie mu przypisywano; chyba —

żywe, ruchliwe, sępie oczy, ale i one za często przysłańiały się cieniem błagalnej, przypochlebnej uległości i lękliwą pozą wierności, której nie można ufać.

— Ten człowiek pracuje na dwie ręce... — myślał Czółno.

Niesmak pogardy przeciekl mu przez żyły. A jednak z tym człowiekiem należy ostrożnie, grzecznie...

— Pan się nazywa?

— Kowalski! Kowalski, panie kapitanie!

Czółno zadrżał teraz od myśli, która nim zawładnęła. Przybliżył się do tego człowieka, i ujmując go pod rękę:

— Panie Kowalski... czy ona tam jest? — pytał nieśmiało, jak sztubak.

Potwierdzające spojrzenie oczu, które się zapalają ognikiem ciekawości.

— A pan kapitan, przepraszam, dokumenty i papiery oryginalne?... wartościowe?

— Oryginalne, ma się rozumieć, oryginalne... — kłamię Czółno, wysuwając rękę z pod ramienia tego człowieka, i czuje, że Kowalski mu nie wierzy, i uświadamia sobie z całą pewnością, że Kowalski pracuje na dwie ręce...

Skręcili w brudną, wąską ulicę, wiodącą do portu. Czółno zobaczył u wylotu, w otwartym prostokącie kamienic, las masztów nakrapiany świetlnymi kropkami latarni okrętowych. Zatrzymał ręką Kowalskiego i pociągnął go za sobą do kamiennej wnęki kamienicy.

— Panie Kowalski! Co tam się patyczkować! — Czy nie lepiej... z plutonem żandarmerji! Nakryć i — gotowe!

— Pan kapitan, przepraszam... „cykorja”? — pyta beczelnie Kowalski.

Czółno omal nie wyrzucił go w twarz. Kowalski zgiął się w kabłąk pod zimnem spojrzeniem kapitana, które go smagało jak pejcz, do krwi.

— Milczeć, Kowalski! — mówi z sykiem Czółno, myśląc: „Zapłacisz ty mi jutro za to, dziś cię jeszcze potrzebuje”.

Stali w czarnym wgłębieniu, dopóki Czółno nie zapytał:

— Więc?

— Niemożliwe, panie kapitanie! — wyjąkał Kowalski. Pokazywał na dwie postacie, idące powoli za nimi.

— Szpiegują nas. Sam jeszcze nie wiem, gdzie spotkanie. Będą nas tak włóczyć, dranie, z godzinę, z miasta do portu, i z powrotem. Myślą, że mi pomylą orientację, niedoczekanie ich!

Pokazywał na przylepioną do węgła domu, daleko przed niemi, trzecią sylwetkę.

— Za tym musimy iść, póki jego wola. Niemożliwe! Gdyby tylko coś zauważyli, przepadną, jak kamień w wodę.

Czółno ruszył zrezygnowany naprzód. Skręcili znów w jakąś ulicę i szli śladami zgarbionej postaci, wiodącej ich w różne zaułki.

Szli z kwadrans, gdy Czółno przyznał w duszy, że stracił zupełnie orientację.

— Kowalski, wiecie, gdzie jesteśmy?

— Jakżeby nie! Zaraz będzie katedra!

Rzeczywiście, za węglem zastąpił im drogę kolosalny romański tum. W gardzielach skrzyżowanych ulic prosił rozpylony o mury blask gazowych lamp. Weszli w zupełnie ciemny zaułek, a potem przeszli jak nocne płazy przez kilka wąskich uliczek, mając wciąż pilnie na oku tajemniczego przewodnika.

Czółno oglądał się co chwila i nie mógł nie podziwiać idących za nim nicponiów, którzy z małą zręcznością wsiąkali w cień nocy i jak fantastyczne mary, szli ich śladem, przywierając do murów i węglów i naśladowując kształty architektoniczne podmurowań i występów zgrzybiałych kamienic.

Nagle Kowalski odetchnął głęboko:

— Nareszcie! a to bydlę! Sfatygował mnie setnie!

Weszli do bramy jakiejś kamienicy i przez sąsiedni sad na podwórze innego domu. Przewodnik zgiął im z oczu zupełnie nieoczekiwane. Czółno obejrzał się — tych dwóch również przepadło. Instynktownie sięgnął po rewolwer, gdy nagle o pięć kroków za nim błysnęło anemiczne światełko ręcznej lampki. Doszli do małej sionki, skąd wiodły nadół drewniane, strome schody. Światełko oddalało się wciąż, jak srebrny, migotliwy motyl. Czółno trzymał teraz ciągle rękę na browningu. Zeszli na dwa piętra wdół. W niskim, długim korytarzu bluznęła, jak krew, smuga czerwonego światła.

— Tutaj, panie kapitanie — odezwał się uprzejmy głos — raczy pan chwilę zaczekać.

Czółno wszedł sam do źle oświetlonej naftową lampą celi. Drewniany stół, ławka i kilka stołków. Czerwone oczy cegieł w ścianach,

ociekających łzami wilgoci. Usłyszał za sobą szelest i zdretniał z przerażenia. W kącie, niedaleko od drzwi stało żółte, skośnookie monstrum i celowało w niego z dużego kalibru parabellum prosto w głowę. Okrągły otwór lufy rewolwerowej, skierowanej w czoło kapitana, ział grozą śmierci, niechybnej, łatwej.

— Koniec — pomyślał Czółno.

Niejednokrotnie patrzył w twarz śmierci, ale nigdy jeszcze nie zawisła nad nim tak nieodwołalnie, tak zwycięsko i cynicznie. Nie poruszał się.

— Ostatecznie!...

Było już zapóźno. Należało rzucić się na Chińczyka odrazu, w chwili gdy się go ujrzało. Pierwszy raz w życiu przerażenie odjęło mu mu zimną krew.

— Teraz nie pozostaje nic innego, jak liczyć sekundy — pomyślał zrezygnowany, — albo... albo spróbować. Czuł na sobie ciężar odpowiedzialności podwójnej: za Sabinę i za siebie.

— Więc... ryzykować!!!

Ale czemu ten żółty pies nie strzela?

Czółno cofnął się w głąb piwnicy i przeszedł do przeciwległego kąta. Nic! Lufa rewolwerowa obraca się za nim, jak magnes, a nawet opada niżej, w kierunku serca.

A więc nie będzie strzelał. To było obliczone na pierwszy efekt. Chcą mnie widocznie steroryzować.

Patrzył teraz z obrzydzeniem na Chińczyka. Stopniowo rój strasznych myśli, niby chmara szarańchy, oblepiającej topolę, obsiadł mu głowę: Sabina z tymi Chińczykami!...

Usłyszał kroki za drzwiami. Chińczyk nie przestawał celować.

— Aha! — myśli Czółno na widok otwieranych drzwi — więc ten żółty to tylko asysta. Wcale ciekawy ceremoniał.

We drzwiach staje niska, pokraczna postać. Błada, zwiędła twarz, obfity rudy zarost i chytry, a cyniczny uśmieszek około różowych ust.

Przypatruje się uważnie, bez żenady kapitanowi, a potem po przyjacielsku wskazuje na ławkę.

Usiedli obaj.

— Pan kapitan wybaczy, to bydlę (ruch głową w stronę Chińczyka) nie rozumie po polsku.

— Słodkawy uśmieszek:

— Nasz zwykły ceremoniał przyjąć.

— Boisz się mnie, draniu, — myśli kapitan, a głośno:

— Przystąpmy do rzeczy. Przeszedłem po kobietę, która ubiegłej nocy...

— Pan kapitan? — nam przynosi cośkolwiek? (c. d. n.)



HANNA SKARBK

PAN W FUTRZE

(nowela)

2

Wróciła za chwilę. W zagłębieniu malutkich dłoni, niby coś cennego niosła flakonik.

— Co ty! Co ty — szeptała doń czule, schylając utrefioną głowę. Powoli z wyrafinowaną starannością zaczęła się perfumować. Nikt jej tego nie uczył. Przychodziło samo. A więc czubki palców i minjaturowe konchy ukrytych w lokach uszu. Rąbek sukni i smukłe łydki nóg, aż za różowe wysoko za kolanka opięte pierścienie podwiązek. Włosy. Na ostatku, najdłużej usta. Rozchylone, niepokojące.

Ruchami nienaturalnie pozowane mi zapaliła wszystkie świetlne kule w pokoju. Wolno z głową poddaną nieco wrył, prężąc się ku górze wyniosłe, jęła przesuwac się koło luster.

Z dziecinnych ramionek, przez całą długość postaci po barwnym dywanie wlokła się za nią czarna szmatka narzuconego kimona. Szepotała w uniesieniu:

— Będę kochała rdzawe, bezkształtne, na wątlach łydych orchideje. Będę się stroiła w białe, z ciężkiego brokatu, wlokące za sobą najdłuższe treny, suknie. Przybędę do Rzymu. Będę wolno wstępowała po marmurowych, gładkich schodach pałacu, a za mną będzie się sunął czarny lokaj..... „oto dzwonnica Santa Maria in Cosmedin, podobna do żywego różowego słupa na tle błękitu. Oto willa Medicis podobna do lasu szmaragdów. I willa Ludovisi cokolwiek dzika, cała przesiąknięta wonią fiołków, uświęcona obecnością Junony. Oto willa Albani, zimna i milcząca, jak klasztor. Oto pałac Zuccari na Trinita di Monti, miejsce kędy niby esencja w naczyniu zebrany jest przepotężny urok Rzymu“¹⁾.

Nieśmiałe pukanie.

Kimono, kopnięte błyskawicznie, legło pokornie pod kanapką.

Na progu stanęła Mela.

Nie patrząc na panienkę, rozpostarła, trzymając oburącz, aksamitną rotundę.

— Zaczekaj!

Powolnymi ruchy, stroiła panienka głowę w koronki różowego kapturka. Umaczaniami w pachnącym płynie dłońmi długo, a pieszczotliwie muskała futro. Nareszcie niedbałe narzucenie okrycia na wątłą kibić. Ostatni skośny błysk oczu w stronę zwierciadła i spotkanie

zdziwionych, zaokrąglonych zachwytem żrenic służącej.

— Hiacynty, wyrzucić natychmiast!

* * *

Fioletowa rotunda z różowym buldenezem sunęła wolno przez ciemne pokoje. Wśląd za nią o dwa kroki, naśladować wyniosły jej chód, stapał biały fartuszek na czarnej sukience.

W jadalni było zupełnie zielono i cicho. Z pod dużego abażuru sączyło się grynspanowe światło. Przy srebrzystym samowarze panna Fela sennie przecierała połyskujące szklanki. W drugim końcu stołu korepetytor i malcy malowali półwyspy Europy. Student nie patrzył zupełnie w stronę kryształów i rozfalowanego ręcznika. Przechylał się całym korpusiem w kierunku otwartych, ziejących czarną ciszą salonów. Węszył najcichszy szmer sukien.

— Błady, coraz bardziej pali. Bezustanku pali — czy naprawdę nikt tego nie widzi? — mrugała panna Fela szklanek, wypukłemi oczyma. Usta zaciskała boleśnie. Naraz wyraźna woń fiołków uniosła się nad stołem. Niby szept bżowych gałęzi — zaszemrały jedwabne kotary.

Dwoje kaprawych, mocno czerwona obwódka wyrysowanych oczu korepetytora przywarło łakomie do aksamitnej rotundy.

Dwoje innych, koloru bezbarwnej żelatyny wpatrzyło się tępo w rozstrzępiony buldenez. Student powstał. Maja z wolnioną kroku. Nieznacznie rozchyliła rotundę, ukazując czarowną różowość swej postaci. Motyl o fioletowych aksamitnych skrzydłach i różowym brzuszku. Zagadkowy, przepiękny motyl.

Pan Jakób zacisnął mocno dłoń. Były spocone. Nabrzmięte, popękane jego wargi rozszerzały się zachwytem.

— Fiuu! — gwiznął starszy malec, zwany Bebusiem — maskarada!

— A śmierdzi — zapiał, jak kogutek najmłodszy — Kikimora!

Pogromca poruszył się zgorszony. Lecz panna nie słyszała. Nie patrząc na niego, uśmiechała się

do siebie. Płynęła przez pokój, pociągając za sobą zahipnotyzowaną drugą młodzieńczą postać.

— Wesołej zabawy! — rzucił nagle chrapliwy głos Jakóba.

— Wesołej zabawy! — powtórzył, jak echo, drugi, bezbarwny z za samowaru — nosem do pierwszej kałuży... zapiał trzeci i urwał!

Właśnie w salonie, w zupełnie ciemnym salonie, rozległo się Tango Argentyńskie. Głos młodzieńcy zaśpiewał. To starszy panicz! Panicz Konrad! Czarodziej w mistrzowskim przebieraniu palcami po klawiszach lakierowanego pudła.

Czarnoksiężnik wabiący gorącym swoim głosem z najciemniejszych kątów — domowników. Radością życia kipiący. Radość siejący. Hojnie, rozrzutnie dla wszystkich.

I właśnie Tango. Modne egzotyczne pieścidełko. Właśnie to Tango, gorące w zimową gwiazdzistą noc na Ukrainie. Noc karnawałową.

Korepetytor szedł wolno w stronę muzyki. Panna Fela uśmiechnęła się niespodzianie. Zmęczenie na moment się zmniejszyło. Oderwała się od szklanek. Mela nieproszona zapaliła największy żyrandol w salonie. W nagłym snopie jaskrawego światła ukazała się Maja. Przystanęła. Wciąż uśmiechnięta.

Wolno zrzuciła fioletową łuskę i wykwitła oczom — niby drzewo migdałowe, obsypane pachnącem, bujnym kwieciem.

Panicz grał coraz goręcej, śpiewał coraz namiętniej. Twarze rozszerzały się w uśmiechach. Oczy zabłysły zielonemi iskierkami. I skupiły się wszystkie, jak w soczewce, na jednej postaci.

Maja tańczyła, tańczyła coś skomplikowanego, pod największym płonącym żyrandolem, przebierając w takt atlasowymi nóżkami.

Mela bezwiednie podnosiła i opuszczała czarne swe wątle ramionka, niby ptaszę, gotujące się do odlotu.

Zwracała małą główkę raz w stronę pięknego panicza, raz ku wirującej wciąż na jednym miejscu panience.

Do żywego, różowego słupa na tle błękitnych dywanów. Jakób tak samo w takt miarowo otwierał i przymykał ordynarne swe usta. Może coś śpiewał bez głosu?

¹⁾ „Dziecko Rozkoszy“ G. d'Annunzio, str. 88.

— Oto ludzie szczęśliwi! Oto prawdziwe, słoneczne szczęście! — męła w ustach, kiwając miarowo anemicznym swym ciałem — Fela.

* * *

Szeroką, puszystą warstwą śniegu usłaną, aleją między pięknymi domami sunęły lakierowane sanie. Potap, nadworny koniuszy samego dyrektora, w suto na biodrach wywatowanej liberji poganiał trójkę. Dzwonki hałasowały wesoło.

Matowe kule elektryczne zalewały mlecznym światłem podjazdy will. „Na „górną“ kolonji przez nieosłonięte, a rozświetlone okna ukazywały się wytworne wnętrza. Wieczór wypoczywał w ciepłych, przytulnych kątach. Suchy, skrzący się miliardem oczu wieczór.

O jakżeż dobrze w kołysce rozłożystych sani, po gładkiej drodze, w ciepłe pachnących futer przenosić się bez wysiłku z różowych pudełek — do pałaców zabawy.

Przez drżące zmrużone powieki w srebrzystej mgiełce migają różnokolorowe światełka — gwiazdki.

Uciekają wywatowane śniegiem drzewa. Jest cicho. Jest, jak we śnie. Tylko wyraźnie słysząc uderzenia olbrzymiego serca fabryki: a-u, u-a, a-u, ta-ta-ta-tu, tu-tu-ta, ta-ta-ta-tu.

Bije tak bez wytchnienia. Bez przerwy. W dzień i w nocy. I w święta. Jeżeli zamilknie — wówczas fabryka umrze. Tak, jak człowiek. A z jej śmiercią zacznie ginąć tyśiące ludzi. Życie ich bowiem przykute jest do cielska olbrzyma. Czasem coś się popsuje. Ta lub owa część organizmu potwora ulegnie paraliżowi.

Lecz póki serce turkocze miarowo, bez wytchnienia dniem i nocą, nocą i dniem — to wszystko dobrze!

W zacisznych, wysłanych dywanami kłatkach — nie wyczuwa się jednak tego pulsu. I wogóle zapomina się skąd i dzięki czemu takie złocene życie.

Lecz bliżej muru fabrycznego, kolczastego — wysokiego!

Potwór dyszy gorącym wdechem, aż dymi się para. Łyska rozpalo-

nemi do zieloności ślepiami. Oblizuje się ognistymi ozorami. Sapie, charcze, pluje, zgrzyta — aż wybuchnie. Rozdziawi ognistą paszczę. Wzbije się fontanna kąśliwych iskier wprost w otchłanne niebo. I niby bengalskim ogniem oślepi skupionych dokoła ludzi.

To Besewuownia wypływa rozżarzoną do białości cieczą lanego żelaza.

Za murem zaś pietrzą się stosy pokręconych, niby włoski makaron, spirali drutów. Polyskują proste, sztywne kawałki szyn.

Wszędzie, kędy tylko okiem rzucić, gromadzą się pękate słupki bloków, to znowu ciężkie zastawy kołowe, dalej kruche arkusze blachy, lub sztable żelaza krągłego. Kadłuby i kończyny pokaleczonych potworków. Ożyją na moment. Pokraśnią warem krwi własnej rozgrzane.

Roześmieją się z uciechy — i zgasną.

Środkiem żelastwa snują się jacyś zasmoleni ludzie. (c. d. n.)

.....

KAROLINA BIELAŃSKA

Z CYKLU: PROFILE ROMANTYCZNE

PIĘKNA PAMELA

(LADY FITZGERALD)

1773 — 1831

22

Młoda kobieta mogła mieć tę największą pretensję do swej opiekunki, że, ucząc ją tylu rzeczy, nie nauczyła jej rachować! Pierwszy mąż również tej sztuki nie posiadał, drugi zaś obrzydził jej oszczędność. Pamela, żyjąc dosyć skromnie, (tak jej się przynajmniej zdawało), wpadła w straszliwe długi. Ci, co jej pieniądze pożyczali w nadziei owej oczekiwanej renty, zniecierpliwili się i zaczęli domagać się zwrotu. Lady Fitz Gerald odprawiła służbę, posprzedawała meble, spieniężyła nieliczne kosztowności, a gdy tego nie starczyło, wierzyciele zaskarżyli ją do sądu. W obawie zaareztowania pozostawiła córkę z pocziwą starą nauczycielką, Miss Dean, u hrabiny de Valence, a sama ukryła się w małej wioseczce o kilka mil od Paryża.

Wspomnienie ukrywającego się niegdyś podobnie męża, musiało jej przysięść do głowy: tragedia zmieniała się w tragifarsę.

Najsmutniejszą rzeczą dla matki

i córki był rozdział. Z ukrycia swego Pamela pisze do młodej dziewczyny najczulsze listy:

„Malabry, 2 marca 1811 roku. Kochanie moje, dokąd wierzyciele nie będą zaspokojeni, nie mogę widzieć się z tobą, wychodzę tylko późnym wieczorem, jak biedna sowa, chciałabym dostać moje krosienka, aby móc haftować i sprzedawać moje roboty...

„Niech to będzie dla ciebie nauką, dziecko moje, że oszczędność i roztropność, to jedyne dobra na tym świecie.

„Wiesz, że ja znoszę odważnie wszystko, co mnie tyczy, ale serce mi się rozdziera, gdy myślę o Tobie i o tej biednej Miss Dean.

Dowidzenia, słodka moja Pammy, staraj się zająć pożytecznie, rysuj, ucz się po angielsku, bądź wdzięczna Twojej dobrej ciotce, a nieszczęście niech umacnia Twoją duszę!

Pani de Gerlis wzruszyła się nareszcie strapieniami swej córki i odwiedzała ją w sekrecie. Pustel-

nicza chatka dobrowolnej wygnanki ujęła serce fantastyczki swoim romantyzmem. Natomiast hrabina de Valence i Henrjeta Finguerlin, która właśnie wróciła z zagranicy, zajęły się przedewszystkiem losem dziewczynki, już wówczas piętnastoletniej, i uradziły, że najlepiej wydać ją za mąż. Trafił się konkurent, niezbyt co prawda młody. Na szczęście księżna Leinster, powiadomiona przez nauczycielkę, zaprotestowała przeciw związkowi „wiosny z zimą“ i napisała do Pameli z dobrocią, ofiarując, że weźmie wnuczkę do siebie dla dokończenia jej edukacji.

Matka i córka rozstały się z wielkim żalem. Pamela przybyła ukradkiem do Paryża, aby pożegnać i wyprawić swoją Pam. Pan de Valence odwiózł dziewczynkę do Holandji, gdyż stosunki Francji z Anglią były przerwane. Młody Henryk Fitz Gerald, syn Henryka, wyjechał po kuzynkę. W rok później, w maju 1812 r. pani de Gerlis pisała do wnuczki: „Droga Pammy,

cieszę się, że pamiętasz o mnie i że czcigodna księżna — babka twoja taką otacza cię pieczołowitością. Twoja dobra i czuła matka dotąd nie opuściła swego schronienia, robi prześliczne roboty, maluje jak anioł, gospodaruje i układa, różne piękne zbiory dla swojej Pam. Ty wypełniasz jej serce, umysł i wyobraźnię. Nic roztropniejszego i bardziej regularnego od jej życia. O dziesiątej kładzie się spać, z rana o szóstej wstaje, to też zdrowie jej poprawiło się i nawet nabrała tuszy. Kochaj ją bardzo, gdyż na to zasługuje."

Do Kazimierza, owego cudownego dziecka, enfant prodige, które stało się enfant prodigue i drogo kosztowało opiekunkę, pisze pani de Genlis w tonie podobnie pochlebnym dla córki:

"P.... znosi los swój bez skargi, bez szemrania, obchodząc się bez najmniejszej usługi, haftuje, maluje akwarelę kwiaty i sprzedaje te roboty w Paryżu, aby długi zapłacić. Co niedzielę odwiedza mnie, przyjeżdżając małym wózekiem, którym sama powozi, a w poniedziałek wraca do swojej wioski. Ubolewałam nad jej nieroztropnością, ale teraz podziwiam jej odwagę."

Tymczasem dzieci pustelnicy dorastały. Edward był pięknym huzarem w wojsku angielskim. Skąpo wyposażony przez pana Ogilvie, nie mógł wstrzymać się od robienia długów. Pam, smutnem nauczona doświadczeniem, nie szczędziła marnotrawnemu bratu nauk moralnych. Dziwna rzecz: ta młoda dziewczyna, wychowana przez matkę, którą wszyscy mieli za uosobienie lekkomyślności, była rozważną, mądrą i zrównoważoną istotą, Lucy natomiast chowana we wzorowym rygorze przez stateczną Zofję, była stworzeniem impulsywnym i wrażliwym, o naturze tak płomiennej, jak barwa jej złotorudych włosów.

W roku 1813 młody oficer zostaje wysłany do Hiszpanji. "Miss Pamkins," jak ją brat nazywa, wymienia z nim częste listy i znajduje nawet czasem okazję, aby matce przesłać wiadomość o synu. Wojna rozdzieliła obydwie kraje nielitościwym kordonem i bez nadziejniejszą czyni tęsknotę.

Aż nagle wali się w gruzy potęga napoleońska.

W roku 1814 młody książę Orleański wraca do Paryża, pobłażliwie przyjęty przez Ludwika XVI i odzyskuje większą część swych dóbr. Pani de Genlis pośpiesza powitać dawnego pupila, przypomina mu Pamelę. Książę ma wiele kłopotów z dawnymi długami i nie uśmiecha mu się wcale perspekty-

wa wypłacenia zaległości od lat 20-tu. Jednak udziela swej towarzysze młodości renty, wynoszącej 7200 franków, z czego Pamela odstępuje zaraz 2000 swej matce z wdzięczności, że ją w ostatnich czasach wspomagała nieco. "Guwernantka" otrzymała pensję 6000 franków: było to mało w porównaniu z sułtem utrzymaniem, jakie dawał jej Napoleon.

Pamela, po tylu przykrych doświadczeniach, nie pragnęła już prowadzić własnego domu, znalazła sobie schronienie w Opactwie Abbaye le Bois, które oddawna służyło za przytułek osobom z wyższego towarzystwa, pragnącym żyć zacisznie. Pani de Genlis, oddając się coraz żarliwszej dewocji, wybrała sobie mieszkanie opodal, u sióstr Karmelitanek.

Słyszając o przykładowym trybie życia swej żony, pan Pitcairn zawstydził się może tych niesłusznych podejrzeń, dość, że przyszło między rozwiedzionymi małżonkami do pewnego porozumienia. Konsul zaczął wypłacać swej żonie skromną pensję, obiecał, że gdy córka podrośnie, pozwoli jej zbliżyć się do matki, o której dotychczas mówiono jej, jak o umarłej i odesłał pozostawione w Hamburgu rzeczy, między którymi cenne mieściły się pamiętki: obrazy, minjatury, książki.

"Dwa pokoiki parterowe o niżej sufity, które lady Edwarda zajmowała w Abbaye le Bois — opowiada świadek naoczny — były urządzone z wielką prostotą, ale ze smakiem przedziwnym, jej tylko właściwym, którego napróżno byś nieraz szukał w salonach bogaczy."

Niebawem zamieszka w tem samem Opactwie, tylko na trzeciem piętrze, słynna pani Recamier i stary jej wielbiciel Chateaubriand, z trudem będzie się drapać po stromych schodach, by odwiedzić przyjaciółkę.

Mimo klasztorного zacisza i klasztorного trybu życia Pameli, policja królewska miała ją na oku z powodu stosunków jej z Orleanami.

(W czasie stu dni odzywały się różne głosy za oddaniem korony księciu Orleańskiemu i odtąd król zaczął kuzynowi niedowierzać. Kazał mu nawet na czas jakiś kraj opuścić. Książę wraz z siostrą pojechał do Anglii. Madame de M... spotkała się z młodą Pamelą i życzliwie udzieliła jej wiadomości o matce.)

Wnet jednak wywiadowcy doszli do przekonania, że lady Fitz Gerald jest zbyt ubogą, aby mogła być agentką polityczną.

Mieszkanie i utrzymanie jej własne i pokojówki w Opactwie kosztowało po 2500 franków rocznie. Mając 7000 fr. renty od księcia i od męża mogłaby żyć dostatnio, ale zostały jej do spłacenia długi, wynoszące jeszcze 12000 fr. Musiała się zatem ogromnie oszczędzać i ani myśleć nie mogła o odwiedzeniu dzieci. Gdy podarunek jaki chciała im posłać, musiała na to zapracować robotkami, na które zawsze chętnych miała odbiorców.

Jedną z takich stałych jej klientek, hrabina de Bradi zaprzyjaźniła się z nią serdecznie i zaprosiła na lato r. 1817 do swego zamku w Rebrechien, koło Orleanu.

Córka jej, Ewa, później znana powieściopisarka, tak opisuje wrażenie, jakie zrobiła na niej Pamela:

"Byłam dzieckiem jeszcze, mimo to piękność jej uderzyła mnie. Później umiałam ocenić lepiej ten wdzięk, który czarował wszystkich, co ją znali. Miała już lat czterdzieści, a cera jej była olśniewająca, rysy bez zarzutu; specyficznie usta, gdyż miała niedobry zwyczaj zagryzania ich, za to posiadała rzadką właściwość, że śmiech upiększał ją. Była czasem wesoła jak dziecko, wszystko ją bawiło, niekiedy jednak wpadała w melancholję. Wtedy oczy jej zwykle błyszczące i żywe, mieniały się raz zielonym, raz brązowym kolorem, stawały się tęskne, jak u osoby, która dużo cierpiała i nie może zapomnieć swych cierpień.

"Pamela mało miała wiadomości gruntownych, ale oryginalność jej umysłu sprawiała, że uważano ją za inteligentniejszą, niż nią była w istocie.

"Wielka dama i artystka, dobry towarzysz i istna bohaterka romansu, lady Fitz Gerald była osobą najpowszechniejszą, jaka istniała kiedykolwiek na świecie."

W gościnnym domu, pełnym wesołej młodzieży, Pamela rozbawiła się, wróciła jej dawna namiętność do tańca. Młodzież zaniedbywała panienki dla tej przedziwnej dan-serki.

Pewnego wieczora, gdy tańczyła w białej muslinowej sukni, wyglądając w niej, jak młoda dziewczyna, uczuła na sobie jakieś badawcze spojrzenie. Odwróciła się i ujrzała stojącego na progu, nowego jakiegoś gościa. Był to siwiejący już generał o marsowej postawie. Zbladła i krzyknęła tak głośno, że zwróciła na siebie uwagę wszystkich. Poznała Artura O'Connora.

Piętnaście lat minęło, jak widzieli się w Hamburgu przez krótką chwilę. Ileż wspomnień! Stała przed nim zmieszana, bojąc się, że

w bystrych oczach starego przyjaciela wyczuje wyrzut swej płochoci. Ale Artur wyciągnął do niej ręce z dawną serdecznością. Uściskali się, płacząc i śmiejąc się, i zaczęli sobie opowiadać swoje dzieje. O'Connor odbył wszystkie kampanie napoleońskie, przed laty dziesięciu ożenił się z panną Elizą Condorcet, córką słynnego filozofa, i był właścicielem zamku Bignon, w sąsiedztwie Rebrechien.

Pamela pojechała w odwiedzin do O'Connorów. Gdy weszła do salonu, zobaczyła odrazu wiszący na honorowym miejscu duży portret Edwarda, a poniżej swoją własną, śliczną podobiznę, którą niegdyś dała Arturowi na pamiątkę:

ów obrazek Mierysa, przedstawiający ją w kostjumie Diany, szesnastoletnią dziewczeczkę, upojoną radością życia.

Pokazała mu minjatury swoich pięknych dzieci, listy, opisujące wojenne przygody syna, i może po raz pierwszy wtedy przyszła jej do głowy myśl smutna, że Eddy w czerwonym angielskim mundurze mógł w Hiszpanji spotkać się, jak wróg z przyjacielem ojca. Ale



O'Connor sam zadumał się, myśląc o dziwnej ironji losu, że on, wygnaniec, syn uciśnionej ojczyzny, znalazł się w Hiszpanji, jako gnębiciel wolnego narodu, a żołnierz angielski siedł tam, jako obrońca tejże wolności.

O'Connor zachował duszę republikańską. Napoleon wiedział o tem i nie lubił go.

Wróciwszy ze swej wizyty w Bignon, Pamela wpadła w jeden z tych okresów melancholji, o których mówiła mała Ewa de Bradi. Zamknęła się w swoim pokoju i siedziała, oplótłszy kolana rękoma, milcząc i wpatrując się w dal zamglonemi oczami, jak gdyby patrzyła w przeszłość. (c. d. n.)

ZOFJA R. NAŁKOWSKA

JEJ TRZY KSIĄŻKI OSTATNIE. JEJ TYPY KOBIECE

I.

Przed trzydziestu blisko laty — w styczniu 1897 r., zapoczątkował wychodzący wówczas pod redakcją Ludomira Grendyszyńskiego „Kurier Niedzielný” ankietę na temat „Czego należy żądać od powieści?” i zwrócił się z tem pytaniem do bardzo wielu autorów współczesnych.

Było to w okresie, kiedy zagadnienia literackie wysuwały się na plan pierwszy piśmiennictwa naszego. Prasa skrępowana warunkami cenzury, o tych sprawach tylko mogła pisać swobodnie. To też nigdy później krytyka literatury bieżącej nie dosięgnęła tak wysokiego poziomu.

Gdy dziś sprawozdania z książek zajmują najpośledniejsze miejsca we wszystkich bez wyjątku organach naszych, umieszczane zwykle drobnym drukiem na stronie ostatniej, pisane najczęściej tylko przez znajomych o znajomych, — gdy dziś nawet olbrzym Żeromski nie ma zasadniczego studjum o sobie, a doczekał go się tylko Reymont, — w końcu zeszłego wieku najwięksi potentaci krytyki śledzili z czujną wnikliwością każdy przejaw współczesnej rodzimej twórczości. Stojąc na strażnicach jej, wmyślali się w głębie obcych prądów twórczych i przeprowadzali misterne, pracowite analizy porównawcze.

Bronisław Chlebowski, Piotr Chmielewski, Ignacy Matuszewski, Stanisław Krzemiński, spuszczali z oka pracy beletrystów i poetów współczesnych, zostawiwszy bez-

cenne studia, do których nigdy wracać nie przestaniemy.

Dziś — gdy życie w demonicznym pędzie roztrąca wszystko dawne i gna ku najważniejszym zagadnieniom ugruntowania bytu Polski, — kto może bawić się w porównawcze zestawienia i refleksje?

Literatura zeszła na plan ostatni. I — być może — nawet Chmielewscy, Matuszewscy, Chlebowscy, Krzemińscy żyjąc dziś, nie poszliby przeciw prądowi.

Kilku wybitnych krytyków, którzy równocześnie z Matuszewskim rzucili w świat cenne monografie literackie, — dziś poprzestają na sprawozdaniach teatralnych. Inni, jak Chrzanowski, Kleiner, Ujejski, zagłębiają się w studjach o piśmiennictwie dawnem.

Autorzy doby ostatniej, piszą tylko dla czytelników, którzy nie są tym czynnym kamertonem, co by na właściwe tory wprowadzał akcję wydawniczą.

A wszak niema pisarza, któryby choć raz w życiu nie chciał przejrzeć się w zwierciadle krytyki, dowiedzieć, jak go rozumiano, jakim echem odbiły się jego słowa?

W ankiecie Kurjera Niedzielnego z 1897 r. rozgrzmiały skargi przeciw powieściowemu gadulstwu.

„Gdybyśmy mogli pozbyć się go, choćby w pisanem słowie tylko!..

„Jak złośliwa zaraza przenika z codziennego życia do literatury, rzuca się na płonki bujnych talentów i pożera je w nienasyconej żarłoczności.

„Wszystko jest w powieści naszej — i dążność szlachetna, i zrozumienie potrzeb społecznych, myśl przewodnia jednak — zamiast wypływać z toku akcji, z psychiki bohaterów, z nastroju i dramatycznego napięcia, — przelewa się długimi nie do zniesienia tyradami“.

Tak pisano wówczas, kiedy mistrze — Prus, Sienkiewicz — otoczeni byli galerją zacnych gawędziarzy, epigonów Korzeniowskiego, Kaczkowskiego, Kraszewskiego. Kiedy rozlewne pióro Orzeszkowej, jak bystra rzeka, zrywało ramy zasadniczej architektoniki. Kiedy Zapolska, która umiała streszczać się i kondensować w dramatach, — rozsądzała formą powieściową, galopadą scen i obrazów rozpętanej, wyolbrzymionej rzeczywistości, nie mogącej zmieścić się w żadnem ustalonem łożysku.

I oto przyszły po niej dwie wybitne polskie autorki współczesne, których cechą zasadniczą — umiar, ścisłość, zwartość, skupienie, mocne opanowanie formy, wzorowa architektonika.

Nic zbędnego. Słowa, jak przymurowane do miejsc swoich, muszą stać przy sobie w danym porządku. Ruszyć, skreślić, przestawić je — przeinaczyłoby się myśl zasadniczą, — ucierpiałaby struktura całości.

Z twardą samowiedzą pisarza, który stworzył sobie swoje własne kanony artystyczne i żąda od siebie ścisłego ich przestrzegania, przystępują do każdej pracy twórczej Marja Jehanne Wielopolska i Zofja R. Nałkowska.

Tylko — gdy autorka „Kryjaków” jest przedewszystkiem polemistką, której każda, najmisterniej wyrzeźbiona nowela, obraz, studjum powieściowe wybucha w końcu pękającym granatem jakiejś krzywdy ujawnionej, jakiejś klątwy na zło, fałsz, obłudę, jakiegoś strasznego krzyku zdręczonej duszy ludzkiej czy zwierzęcej, — Nałkowska nawet tam, gdzie dotyka ran „krwawych, gdzie piętrzy się przed nią groza czynów potwornych i wyrafinowanej podłości, — patrzy na nie ze spokojem rozważnego badacza-intelektualisty, który nie potępia, nie obwinia, lecz raczej, rozgrzesza zło ludzkie, bo źródło jego widzi nie w człowieku, lecz w splocie jakichś przemożnych konieczności, pędzących nad przepaścią.

Bohaterka pierwszej z trzech ostatnich jej książek — Teresa Hennert — nie odpowiada za to, że ponad wszystko ukochała komfort, bo przyszła z tem na świat i strach, żeby kto nie podpatrzył nędzy w domu jej rodziców, był najpierwszem i najsilniejszym jej uczuciem. Młode chłopię, Lin — niby komunista, ale właściwie ideowiec, poszukujący prawdy, ze świętym płomieniem wiary, że ją znalazł, — popełnił przestępstwo, które było poza nim, bo jakiś demon, jakiś oman, odmet powojenny szepnął mu, że to w imię owej prawdy. — Prof. Laterna — egoista, który potargał więzy rodzinne, trzyma w niewoli, jak psa na łańcuchu, kochanka, bo to mu dogadza, — ten w zasadzie człowiek niedobry jednak nie budzi wstrętu, gdyż kocha ludzkość i wszystko wyrozumie, wszystko przetłumaczy na swój język zwycięskiego, słonecznego optymizmu. Zło, które czyni, jest poza jego świadomością. Nie pomyśli ani chwili, że je stwarza. — Nawet ponury komunista, syn profesora, Andrzej Laterna, rozbraja swą bezgranicznie tkliwą miłością dla chorej siostry.

Jeżeli z poza refleksyjnego obiektywizmu Nałkowskiej wyziera jakiś rąbek subiektywnej niechęci, to tylko do nikczemnego karjerowiczostwa i chytrygo sybarytyzmu, które jednak o ironjo! — los oszczędza.

Idzie do więzienia słaby, a chciwy wrażeń por. Gondził, którego bohaterstwa nie umiało ocenić społeczeństwo, — a żyją sobie w spokoju i dostatku ci, co go pchnęli do przeniewierstwa — nowowzbogaceni parwenjuszki — snoby, mąż Teresy, jej ojciec, były kochanek Sednowski i uwodzicielka porucznika Gondziła Sassinówna.

Zresztą, większość bohaterów, tej powieści Nałkowskiej, zwłaszcza tej, to jak głęboka toń wodna,

która czeka na żywioł, żeby rozbijać się całą prawdą swego wnętrza. I miłe chłopię Lin, i Wanda Hennertówna, i Basia Olinowska, ta najdzielniejsza z dzielnych — nie wiedzieliby nic o sobie, gdyby zawierucha powojenna nie rzuciła ich w paszczę powikłań, zmieniając wczorajszą rzeczywistość na zjawę nierealną, „osuwającą się z tła teraźniejszości, jak daleki obraz z pękniętej tafli zwierciadła”.

Nałkowska rzadko kiedy porusza tematy społeczne. Pociągnęło ją jednak swoją zjawą różnolitą, różnoimienną i przez to może kuszącą jako twórczy problemat — życie ludzi powojennych. Więc — narzucając sobie nieraz mozolne zadania — przedstawiła je w „Romanse Teresy Hennert” z tym obiektywnym spokojem, z jakim wprowadza czytelnika w grozę najdramatyczniejszych przeżyć swoich bohaterów.

Mord, dokonany na Teresie przez jej kochanka, który żyć bez niej nie umiał, a żyć z nią mógł tylko po za sferą jej „dobrego, ładnego życia” — taka prosta, krótka chwila.

„Wyjął rewolwer i strzelił w upatrzone miejsce między oczy. Klasnęło mokre echo po jeziorze. Tuż przy wodzie — na piasku — legła kulka czegoś białego”.

To i wszystko. Skończyło się jedno „ładne, dobre życie” — przyjdzie jakieś inne. Zapadła w przestrzeń czasu i — „niewiadomego” jedna zbrodnia — dokonają się inne w tym świecie powojennym, w którym zachodzi nawet nie przeszacowanie wartości, lecz tylko czysto formalne przemianowanie czynów.

„Wojna, wyjmując z dusz ludzkich i ukazując różne czarne demony, nadaje im piękne miana, właściwe epokom wojennym. Gdy nastaje pokój, opada gloria z tych nazw, a demony nie zdychają, kurczą się tylko, chowają w małych zakamarkach duszy tam cicho żyją, czekając. Okazje trafiają się. Nie ma już bohaterstwa, ślepej odwagi, ale zdarzają się piękne napady bandyckie, ciche zbrodnie, po kątach tajemne porachunki”.

Tak mówi Andrzej Laterna, bo Nałkowska sama nie przemawia nigdy. Swoje długie i ważne przemyślenia kładzie zawsze w usta bohaterów. Zasłania się niemi, gdyby ktoś chciał ją posądzić o taką, a nie inną orientację, o takie lub inne hasła, dyrektywy.

Każdy — mądry czy słabszy intelektualnie osobnik w jej książkach (bezwzględnie głupich nie widzi dokoła siebie) rozmyśla, filozofuje, wyciąga wnioski ze zjawy widomej,

z powikłań i wydarzeń konkretnych lub — ze swoich własnych, wewnętrznych przeżyć. A że wir powojenny jest jak kalejdoskop, więc w otoczeniu Hennertowej każdy myśli po swojemu.

Córka jej — tak odmienna od matki — młoda, pełna zapału dziewczyna, w której żyłach jeszcze wibruje zew bohaterski z „cudu nad Wisłą”, — woła w uniesieniu:

„Jesteśmy wreszcie obywatelami, jak wszyscy na świecie odpowiedzialni, walczący, winni. Już nie ofiary tylko — już winowajcy. Nic nas nie usprawiedliwia, niema już wykretów. Ani „Chrystus Narodów”, ani „kajdany Sybiru”, ani „carscy siepacze”. — Jesteśmy tacy, jacy możemy być — jaką jest zawsze gromada”.

A filozof Laterna po swojemu przeobraża i uzupełnia te zachwyty młodzieńcze:

„Idea urzeczywistniona jest to idea sfalszowana. Żyjemy w epoce rozpadu wielkiej ideologii, w epoce olbrzymiego, zupełnie cudownego rozrostu rzeczywistości. Ale dezagregacja ideałów służy tylko życiu. Słowa programów rozsądzone zostały przez nową, nieoczekiwaną, jeszcze niezrozumiałą, wspaniałą treść... Realnie, poziomo sprawy biorąc — jest codnia lepiej. Programy nie sprostały życiu, ale życie ratuje się samo. I zwycięża...”

Od takich głębokich refleksyj roi się ta powieść powojenna, zresztą pełna zwartej, ciekawej akcji, scen plastycznych, żywych, o silnie dramatycznym napięciu, którego niekiedy nawet spokój autorki zmatować nie może — tak żywiołowo narzuca je zawierucha powojenna i te — z zakamarków dusz wypętlone żądze niesamowite, pędzące do samobójstwa, więzienia, zbrodni.

Jak we wszystkich powieściach Nałkowskiej, każdy typ w „Romanse Teresy Hennert” jest aglomeratem tych podświadomych instynktów, tych odruchowych zachceń, pożądań i fanatycznych, prawie manjakkich upodobań, które autorka, zamilowana w badaniu ludzi pod mikroskopem, wydobywa na jaw misternie. Zewnętrzność — to tylko zsumowanie tych wahań i odchyłeń, tych poruszeń wewnętrznych, które są jak żyłtka na dnie wód głębokich.

Nie wiedzą same o sobie w letargu swoim. Aż przyjdzie orkan, wstrząśnie powierzchnią, sięgnie w przepaści otchłani. A wtedy poruszy się, ożyje, wyciągnie w przestrzeń leniwe macki śpiąca ameba.

Co wie człowiek powojenny o sobie — dziś bohater, jutro więzień, katorżnik — z piętnem wiecznej hańby na czole?

(d. c. n.)

C. Walowska.

NIC WAŻNEGO

PRZYSŁUGI, KTÓRYCH NIE ODDANO

Widziałam troje dziwów. Tylko troje. Bo mieszkam w Europie na czwartym piętrze — nie na gałęzi chlebowca wśród doliny Kalalau; walczyłam kiedyś z przesadami „dam klasowych“, ale nigdy z polarnym niedźwiedziem. Za to moje dziwy są napełnione samą esencją dziwności; Pan Bóg, który świat obraca na dłoni, jak pomarańczę, z pewnością te postęпки — dwóch pań warszawskich i jednego młodzieńca — przełożyłby nad kwitnące agawy.

Pierwszy fenomen:

Rzecz działa się w tramwaju. Bestja ruszyła właśnie z Placu Trzech Krzyży, więc ludzie — padłszy sobie poniewoli w objęcia — obracali się teraz z niesmakiem od sąsiadów i każdy czytał: „Lipton tea“, „Niedługo Iwonka...“ Dochodziła ósma. Dlatego ścisk miał pozory dobrobytu — „państwo jechało“ do teatru. Na ławeczkach kwitły obok siebie (jak flakoniki w gablotce fryzjera) zapachy najróżniejsze, od echtes Kölnisches do Fol Arôme włącznie. Panowie, uwieszeni chwacko przy rzemiennych pętlach, wyczytniali dygi przed damami, pochruypywał sztylpą kapitan i panna Dziula śmiała się bielej, niż Dentosan. „Wonieje pokojem, niczem w Locarno — myślałam sobie. — Może i wróca te czaszy, co minęli...“

Na rogu Chmielnej przybyła osoba śliczniejsza od White Pearl i zaraz — na miejscu, z którego skwapliwie frunął elegant — usiadła z tym samym kaprysem w oczach, z jakim siadała pewnie na kolanach męża.

Jest rzeczą lekkomyślną mijać bez zastanowienia szybę kwiaciarni, albo w przelocie liznąć spojrzeniem pieknie twarz; jeżeli się taka trafi, należy raczej ukradkiem wyssać ją, jak winne grono — wiele kropel słodkości przybędzie stąd naszemu życiu. Tak uważam, a zatem gapiłam się na „osobę“ tym swobodniej, że patrzyła na plecy kapitana.

Tymczasem w bruzdach między ławkami kipiały nóżki i nożyska, splątane w boleściwy zamęt. Słodko było siedzieć; u moich kolan publika stojąca wyłaziła ze skóry, niby komiwojażer w kręgu patrycjuszowskich oczu. Wsunęłam brodę w futro, i trwałam. Przy Koperniku wynieśli się admiratorzy Przybyłko, jednak ławki pozostały w obłężeniu. Jednocześnie w gęstwinę perfum wpadł zapach zu-

pełnie niestosowny — coś jakby szczeknięcie psa podczas koncertu. — Poczulałam mydliny: oczywiście weszła praczka. Na wysokości ślicznej twarzy zprzeciwka zjawilo się nagle dwoje rąk. Zasłoniły widok niemniej piękny od Lago Maggiore, więc spojrzałam na nie ze złością. Ale one także były ciekawe. Tak blade, że prawie siwe, nabrzmiałe, a przecież opięte siecią zmarszczek, bruzd, rozpęknięć, otyle, a mizerne, czyste, a nalane wstrętem, rzekłbyś gąsienice. Z niechęcią odwróciłam głowę. Natomiast osoba postokroć bardziej urocza, niż White Pearl, zerwała się nagle z ławki, dotknęła tych rąk nagiemi paluszkami i przyciągnęła na własne miejsce babę z chlorkiem. Poczem stanęła, uśmiechając się na różowo, przy kolanach praczki i tak jechała jeszcze długo — całe cztery przystanki.

Fenomen drugi:

Na schodach. Tragarze dygują szafę. Olbrzymie szafisko w stylu empire, przeznaczone — pozał się Boże — na książki, ale nierównie przydatniejsze do chowania ponapoleońskich kartaczownic. Chłopy buchają potem, jak krwią z rany, sapia, a z pod czap widać oczy straszliwe, niczem u buhaja. Jedno stąpienie — trzęsą się schody, pęcznieje kark, dzwonią szybki w przekłetej szafie... O piętro niżej stoi panna. Zadarła głowę do góry: patrzy. Jest obca, przechodem... Co jej i temu mahoniowi, niewiast! Jednak... Kiedy mebel wlaźł jednym rogiem w próg mieszkania, a drzwi, luzem puszczone, jęły kuć w głowę lewego tragarza, panna, skokiem łasicy, strzeliła w górę i w jednej minucie, przyległszy do ściany, wzięła się pilnować, żeby aby czasem drzwi już nie szturchały juczne zwierzęcia.

I wreszcie trzecie dziwo:

Noc na Krakowskim Przedmieściu jest spokojna, jak oddech niemowlęcia. Mógłbyś rozłożyć piernat na progu „Empire'u“ i spać tam, nietknięty stopą ani słowem, od godziny psa do godziny tygrysa. (Tak chińczycy oznaczają nie-

które mrugnięcia wieczności). Prawda ta wszelako nie wszystkim wydaje się równie oczywista. Podlotki, nieświadome zgłębów Montmartre'u, rade przeżywają, wracając wieczorem od cioci, wzruszenia saren wśród puszczy. Cóż dopiero, jeżeli trafi się żartowniś, albo i czarny charakter, który podpełźnie zniecka i zagada słowem obmierzłem! Wtedy dresczyk sensacji urasta koło serca panienki w ostry, bolesny nóż. Laleczka biegnie, drobno strzygąc stopkami, z głową schowaną w ramiona, a strach napełnia jej gardło, jak zgniła woda.

Otóż wracałam niedawno z piątku przyjaciółki. Szedł ze mną miły znajomy, pora była niepóźna; więc nogi niosły wesoło, nie śpiesząc. Na Nowym Świecie z bramy opodał wypłynęła dziewczyna. Rzuciła okiem w prawo, w lewo i meżnie pokroczyła w stronę Trzech Krzyży. Łydki w jasnych pończochach migwały rytmicznie, co chwila błyskał jakiś dżet na kapeluszu.

Z „Perskiego Oka“ wyszło kilku panów. Jeden, najchybszy w działaniu, zaraz chwycił pannę pod rękę i coś jej zaproponował z ferworem.

Krzyknęła. Bez żadnej afektacji; krzyknęła tak serdecznie, jak na wsi krzyczą dziewczuchy, łajane przez macochę. Mój towarzysz napuszył się do obrony, kiedy napastnik odpadł nagle, panna przebiegła na drugą stronę ulicy, a kilka kroków za nią ruszyły dwie męskie figury. Podążyliśmy i my na lewy chodnik, pełni rycerskich zapalów. Aliści młodzież prowadziła się spokojnie; trzeba było tylko ciągle przyspieszać chodu, bo pończochy mknęły niczem dwie arabskie pęciny. Do samej ulicy Wiejskiej nie powiedzieliśmy sobie już nic ciekawego, ile że pan Jędrak miał ucho nastawione na jęki ofiary. Wszelako jęków „nie okazało się“. W niezmiennym szyku bojowym dotarliśmy do bramy Nr. 14-ty. Tam paniątko poczęło dzwonić frenetycznie, dwaj jegomoście zasunęli się w cień pod parkanem, a my trwaliśmy zdala. Po chwili brama łupnęła ciężkiem skrzydłem i ofiara znikła. W minutę później mijały nas wolno postacie z pod parkanu. „Także sens ganiać bez celu taki kawał za dzierlatką!“ — mówił jeden. „Owszem, sens — odpowiedziano mu. — Chciałbyś, żeby się dziewczyna jeszcze raz nastraszyła? Mało to idjotów łązi...“



SPROSTOWANIE

W Nr-ze 45 tym w szpalcie 2-ej, wiersz 12 ty od dołu powinno być zamiast „Jedna“ — „jednak“.

W Nr-ze 46-tym tytuł powinien być brzmić: „Przyjemności których nie zrobiono“, a na str. 1356, szpalta 1-sza, wiersz 20-ty od góry „wytoczonej“, nie „wytworzonej“.

Aż troje dziwów w polskim mieście. Trzy oddane przysługi. Przysług nieoddanych — podobno jest na globie tryljonów trzykroć po sto...

Marja Kuncewiczowa

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU.



CZYTELNIĘ „DZIECIĘCE”

Zawdzięczają one swoje powstanie kobiecie. Pierwsza taka czytelnia ufundowana została w Monachjum przez pannę Różę v. Aichberger; następnie zaś powstał już cały szereg takich instytucji w samem Monachjum i w innych miastach niemieckich, a potem w innych krajach Europy.

Czytelnia taka przeznaczona jest dla dzieci w wieku szkolnym, t. j. od lat 6-ciu do 14. Każde dziecko uczęszczające do szkoły elementarnej, może zapisać się na członka czytelnicy, otrzymuje wtedy kartę, na której notowane są, poza jego nazwiskiem i adresem, również i wszystkie książki, które dostaje do czytania.

Na podstawie tych danych prowadzone są wykresy statystyczne, dotyczące czytelnictwa dziecięcego, poczytności książek i t. d.

Sprawozdania czytelnicy monachijskich wykazują dość nieoczekiwane rezultaty: chłopcy czytają naogół znacznie więcej, niż dziewczęta, a przytem upodobania ich są bardziej różnorodne. Dziewczynki żądają przeważnie tylko „bajek lub powieści”, chłopcy zaś lubią opisy podróży, książki przyrodnicze, naukowe, powieści historyczne, poezje i t. p.

Słabszy rozwój czytelnictwa wśród dziewcząt da się do pewnego stopnia wytłumaczyć zajęciami domowymi, do których dziewczynki niemieckie, szczególnie w rodzinach mniej zamożnych, zaprawiane są już od najwcześniejszego dzieciństwa, 10—12-letnia Niemeczka jest już często prawdziwą wyręczycielką matki i ma powierzony sobie cały odpowiedzialny dział pracy domowej. W każdym razie jednak małe zainteresowanie książkami o treści poważniejszej jest objawem smutnym, wynikającym może ze złego systemu wychowania.

Niezmiernie miły widok przedstawiają monachijskie czytelnice dziecięce, o dużych, czystych salach, wyposażonych w małe stoliki i krzesła, dopasowane doskonale do wzrostu młodzieńskich abonentów. Obsługuje czytelnice starannie do-

brany personel kobiecy, którego zadaniem jest czuwać nad czytelnictwem dzieci i podstawiać im odpowiednie do ich wieku i rozwoju umysłowego książki.

Kierowniczka czytelnicy ma za specjalne zadanie budzić w dzieciach zamiłowanie do książek. W tym też celu miewa ona z dziećmi pogadanki na temat czytelnictwa, dla młodszych zaś dzieci, niezbyt jeszcze wprawnych w czytaniu, urządza 2—3 razy w tygodniu „wieczory lektury”, na których odczytuje im głośno jakąś zajmującą książeczkę. Starsze dzieci są również zachęcane do czytania głośno w domu młodszemu rodzeństwu.

Czytelnice dziecięce mają nietylko na celu popieranie czytelnictwa wśród młodzieży; zadaniem ich jest także rozwijanie dobrego smaku i uczuć estetycznych. W czytelnicy znajdują się tylko książki o doborowej treści i starannie wydane, na dobrym papierze, dobrym drukiem i z artystycznie wykonane-
mi ilustracjami.

Kiedyż wreszcie i w naszym kraju powstaną takie czytelnice, z których dzieci nasze czerpałyby mogły naukę i pożytek? Z. B.

Z TEATRÓW



Recenzenci byli oszołomieni i patrzyli na publiczność, zaś publiczność patrzyła na recenzentów, i wstrzymywała się od okazywania swoich uczuć. Zwyciężył jednak wreszcie autor i, choć nieobecny ciałem, duchem swoim zmusił publiczność do entuzjastycznych braw, które w końcu pociągnęły za sobą i panów recenzentów.

„Żeglarz” jest sztuką naturalistyczną w krainie której niema i śród ludu, którego nigdy nie było. Stąd posądzenie o symbolizm. Zbyt już przywykliśmy za symbol uważać wszystko, co jest nam niewygodne.

Szaniawskiemu nie chodziło o żaden symbol. Jeżeli jego „przewodniczący” jest raczej terkotką drewnianą, dającą sygnały resystencji i poczynania, niż człowiekiem; jeżeli rektor jest kogutem piejącym (dla niemałej własnej kerzyści) chwałę nieistniejącego bałwana; jeżeli admirał jest szczurem, bezzębnym, który nawet worka z mąką nie jest w stanie przegryźć—to nie są to żadne symbole. Proszę tylko częściej używać lustra—nietylko w chwilach malowania ust i brwi. To wszystko prawda—talkinga prawda skondensowana.

Szaniawski jest synem swej epoki i nie ma czasu jak Ibsen rozważać tematów na siedem części wody i jedną część życia. Szaniawski myśli i czuje skrótami—jak każdy z nas. Dlatego tak mało jest przez nas rozumiany—bowiem wszyscy rozumiemy lepiej to co było, niż to co jest.

„Żeglarz” bohater, żeglarz, którego nie było, jest wielkością. Za życia był korsarzem, przemytnikiem i kontrabandzistą. Po swej fikcyjnej śmierci jest historją. Dlatego i stary pijak żyjący naprawdę już nie żyje naprawdę. Żyje tylko historja. Żyje duch, żyje bohater. To czego naród potrzebuje, to co jest naprawdę świętością żyje. Bajka? Może i bajka. Któż naprawdę zna historję Troi i jej oblężenia? Zginęła Troja—ale bajka żyje. Ludzkość, szukając nieśmiertelności znalazła ją w baśni.

„Ale to, co zginęło, na to by żyć, musi mieć choćby jedno oddane sobie serce”. (Nie jest to dosłowne powtórzenie słów Szaniawskiego). Żeglarz Nut jest bohaterem narodowym. W rodzinnem miasteczku stawiają mu pomnik. Upostaciowanie legendy, świętość narodowa.

Świętość tę chce zbezszcześcić młody zapaleniec, jedyny, który naprawdę kocha Nutą. Nie pomogą perswazje, obietnice, kuszenie, błagalne spojrzenia rozkochanej narzeczonej, Med. Jan powie prawdę o Nucie. Nie może nic wskórać u niego sam Nut, który żyje pod przybranem nazwiskiem Szmida i zjawia się w stancyjce Jana, mówiąc kim jest. Mówi mu więcej: jest jego dziadkiem. Jan po nim dziedziczy... Naprawdę. Jan powie prawdę o Nucie. Trwa w tym zamiarze do ostatniej chwili. Ale gdy z pomnika spadły zasłony, gdy zabrzmiał hymn narodowy, gdy oczom tłumów okazał się On, Bohater, Bajka—stary Szmida ze wzruszeniem pochyla głowę, a Jan zdejmując czarny beret studencki.

Szaniawski kocha wielkość—dlatego ukazuje nam małość. Mocną i pełną duszą sztukę napisał. Naród, który lubi pomniejszać olbrzymów powinien ją choć w swych najlepszych synach głęboko odczuć.

Współtwórcą autora w Teatrze Narodowym był p. Stefan Jaracz, którego debiut na polu reżyserskim zasługuje na słowa najwyższego uznania.

Świetną postać Szmida stworzył p. Frenkiel ojciec—zwłaszcza w akcie III, w końcowej scenie milczenia był niezrównany. Mniej udatny był p. T. Frenkiel, jako Jan Truden—ta przesubtelniejsza rola nie leży w zakresie jego talentu, przyznać jednak trzeba, że pan T. Frenkiel włożył w nią dużo pracy i miał momenty bardzo ładne.

Pełną wdzięku Med była panna Lindorfówna. Panowie: Owerłło, Chmieliński, Bednarczyk, Staszkowski, Zieliński i Kraszewski (ten ostatni w niemej roli pana z „komitetu”), dali sylwetki pełne charakteru i życia. Całość złożyła się na spektakl o wysokim poziomie artystycznym. Z. P.

UBRANIE DOMOWE ZROBIONE SZYDEŁKIEM ŚCIEGIEM NAŚLADUJĄCYM KRATKĘ

Ładny ten kaftanik robi się z zefiru wziętego zależnie od pożądanej grubości, w jedną lub dwie nitki, szydełkiem mającym, 11 mil. grubości (rys. 1). Wzór nasz robiony jest w kolorach granatowym i żółto złotym, barwy zmieniać można dowolnie, uważając, aby kratka robiona była z ciemniejszej.

Kaftanik robi się jednym ciągiem (rys. 2) brzeg odmiennym ściegiem po skończeniu całości.

Zaczyna się od dołu pleców.

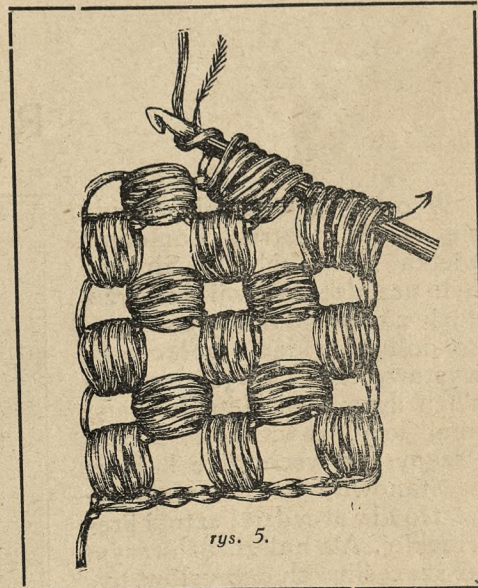
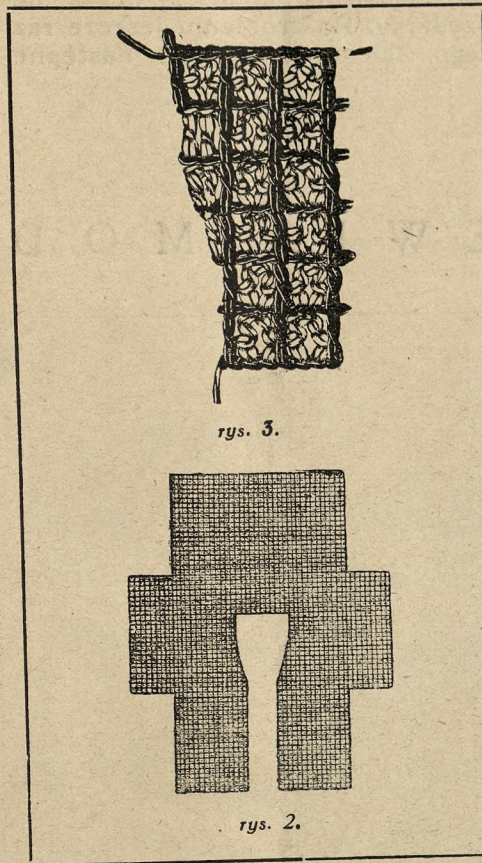
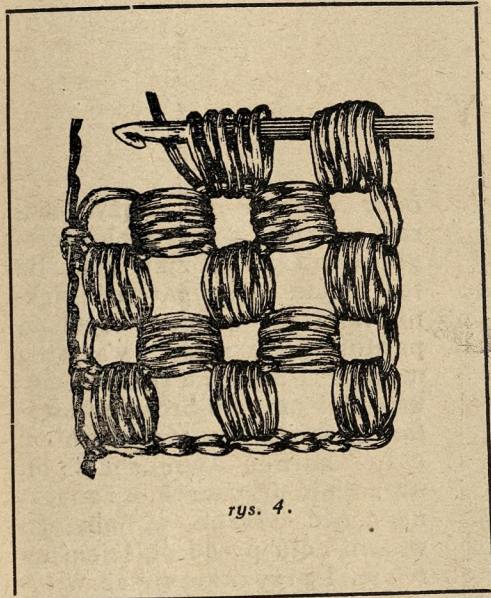
Zrobić łańcuszek z granatowej włóczki o 145 oczkach długości 60-ciu centymetrów na nim 1-szy rząd. kolor złoty — 1 śc. ocz. w drugie ocz. łańcuszka — 3 ocz. pow. 1 śc. ocz. w to samo oczko łańcuszka, 1 śc. ocz. w trzecie ocz. łańcuszka 3 ocz. pow. 1 śc. w to samo oczko (rys. 1) — rząd



rzędu, 3 ocz. pow. 1 ocz. śc. w to samo oczko, 1 śc. ocz. w następ-

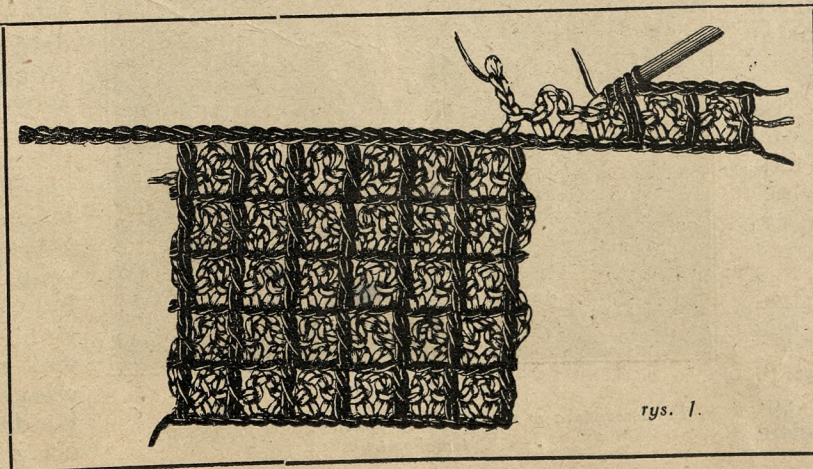
pujące pojedyncze oczko, 3 na powietrzu 1 śc. w to samo oczko i t. d. 4 ty rząd — wełną granatową jak 2 gi, trzeba uważać żeby słupki były zawsze nad sobą zahaczane w całe oczka poprzedniego słupka, powtarzać te dwa ostatnie rzędy, aż zrobimy 56 rzędów, z których otrzymamy na wysokość 28 kwadratów, miary 35 c. Wtedy zaczynamy robić rękawy.

Przed zaczęciem 56-go rzędu, który powinien być z granatowej wełny, trzeba zrobić 36 ocz. łańcuszkowych (długość rękawa) z drugiej strony dowiązać nitkę i zrobić również 36 ocz. łań. na rękaw. Razem z szerokością pleców powinno być 217 oczek. Na tych 217 oczkach robić rzędy tak, jak poprzednio. Powinno uformować się 72 kwadraty na szerokość. Zrobić jeszcze 20 rzędów, które dadzą nam



2-gi granatowy, 1 słupek w pierwsze podstawowe oczko 1 ocz. powietrzne 1 ocz. zahaczone w środkowe oczko z trzech powietrznych poprzedniego żółtego rzędu, słupek w czwarte podstawowe oczko, 1 pow. ocz. 1 ocz. zahaczone w środkowe z trzech pow. poprzedniego rzędu, słupek w 7-me oczko podstawowe i tak dalej, to stworzy 48 kraki. Wełnę granatową trzeba urywać za każdym razem. 3-ci rząd wełną złotą na zakręcie 3 ocz. powietrzne 1 śc. ocz. w pojedyncze oczko poprzedniego

10 kwadratów na wysokość. Tak zrobiwszy 76 rzędów, formujących na wysokość 38 kwadratów — długości 47 i pół c. dojdziemy do wykroju przw szyi. Wtedy robić na 28 kwadratach 12 rzędów, które znowu uformują 6 kwadratów. Następnie robi się jeszcze 32 rzędy, po dłużając o jeden kwadrat co 8 rzędów. Aby do tego doprowadzić trzeba kończąc 1 rząd tych 32 rzędów zrobić nadetatowo jedno pow. oczko i jeden słupek z wełny koloru złotego rys. Nr. 15, w drugim rzędzie zrobić 1 słup. w tym samym miejscu,



ponad ostatnim granatowym słupkiem poprzedniego rzędu.

W trzecim rzędzie zrobić 2 złote słupki od strony szyi w czwartym rzędzie 1 słup. granatowy w tem samym miejscu co ostatni granatowy słup. poprzedniego rzędu, i 2 oczka zahaczane o 2 złote słupki, w 5-tym rzędzie zrobić 2 słup. od strony szyi, w 6-tym rzędzie zahaczyć ostatni słupek w to samo miejsce co słupek poprzedniego rzędu i 2 oczka łańcuszkowe nad dwoma poprzednimi słupkami. 7-my rząd 1 śc. ocz. 3 ocz. pow. 1 śc. ocz. 8-my rząd zakończyć słupkiem wklutym w słupek 6-go rzędu. 4 razy powtórzyć zakończenie tych 8 miu rzędów. 32 rząd powinien składać się z 32 kwadratów. Tu dochodzi się do końca szerokości rękawa, mając 120 rzędów, a 60 kwadratów na długość. Zostać z szerokości 12 kwadratów, a na 20 pozostałych zrobić 65 rzędów na połowę przodu. Jedna strona przodu będzie skończona, mając 176 rzędów, z których powstanie

88 kwadratów na wysokość. Całość długości 1 metr. 10 c.

Z drugiej strony rozpoczynamy robotę od 76 rzędu i robimy to samo, aby uformować drugi przód, przybierając oczka na wykrój szyi, z początku każdego rzędu. Po skończeniu drugiej połowy zeszyć kaftanik od dołu rękawa do dołu i obrobić szlakiem wykonanym ścięciem robionym na podstawie tunetańskiego. Tej samej grubości szydełkiem robić z dwóch nitek zefiru następująco: 8 pow. oczek wyciągając ostatnio na 8 milimetrów, założyć nitkę na szydełko wkluć w przedostatnie z tamtych 8 miu wyciągnąć, założyć nitkę na szydełko wkluć w to samo oczko, znów wyciągnąć, założyć i wkluć w to samo oczko, powinno być 7 nitek na szydełku, następnie wkluć w 3-cie łańcuszkowe oczko, powtórzyć to co przedtem 3 razy wkluwając zawsze w to samo oczko, będziemy mieli 14 oczek na szydełku. Po zrobieniu jeszcze raz tego ścięgu, w trzecie następne

oczko łańcuszka, przyczepić szlak do 2-go słupka u dołu kaftanika za pomocą jednego ścisłego oczka, (Rys. 4). Wracając zrobić luźne oczko. przeciągnąć je przez 7 nitek pierwszego ścięgu 1 ocz. powietrzne wyciągnąć na 8 milimetrów, założyć nitkę na szydełko, wkluć w sąsiednią nitkę powietrznego, założyć, wkluć, założyć, wkluć ciągle w to samo oczko, wyciągnąć oczko przeciągnąć przez 14 nitek na szydełku, oczko powietrzne wyciągnięte i t. d. 2 gi rząd. (rys. 5) wyciągnąć oczko na 8 mil. w tym rzędzie, jak w następnych, trzeba wkluć w pojedyncze oczka poprzedniego rzędu, a na końcu każdego rzędu przymocowywać ściśłem oczkiem do bluzki. Na rogach zrobić trzy rzędy więcej jak długość kaftanika, następnie robić to samo wzdłuż przodów, dookoła szyi, i koło rękawów. Włóczki potrzeba 250 gr. złotej i 200 gr. granatowej. Na biodrach ściągnąć żakiet sznurem, zrobionym z tej samej wełny.

REWJA MODY

W ostatnią niedzielę odbyła się w sali teatru „Komedia” wielka Rewja Mody. Słuszne było urządzenie rewji w teatrze, gdzie z każdego miejsca wszystko dobrze widać i połączenie wystawy tualet z wystawą perskich dywanów. Udekorowano nimiz łoża, zawieszono scenę. Przepyszne wschodnie kobierce stanowiły bardzo efektowne tło dla arcydzieł sztuki krawieckiej. Ale najszcześniejszym ze szczęśliwych pomysłów, było uproszenie pana Jarosy'ego o objęcie roli conférencier'a. Wywiązał się z niej z tak nie bywałym wdziękiem i wygłosił tak dowcipny odczyt o historii mody, że wszystkich wprowadził w dobry humor i dobrze usposobił dla mającego nastąpić widowiska.

I oto zaczęły wchodzić na scenę najpiękniejsze ozdoby naszej sceny, spowite w najpiękniejsze pomysły krawieckie naszych największych artystów igły.

Doprawdy! można było stracić głowę.

A „piękne ozdoby” niestety tak krótko raczyły zdobić naszą scenę i podjum, że chciwe



P. Gorczyńska w sukni z lamy zielono-złotej przybranej tumakami.

oczy widzów nie zdążyły nieraz ogarnąć wszystkich szczegółów pięknego zjawiska. Bo też i było na co patrzeć: piękna kobieta, suknia, kapelusz, pantofelki, okrycie... wszystko modele. Pamiętna słusznej ciekawości czytelniczek, notowałam gorączkowo. Zabazgrałam cały karnet, wręczony mi uprzejmie przy wejściu i znaczną część własnego, nabytego w tym celu przed pójściem na rewję. I przyznaje się ze wstydem, że nie udało mi się zanotować połowy rzeczy widzianych, a z tego, co zanotowałam, nie wszystko mogę odcyfrować. Pocieszam się myślą, że i to, co Ci opiszę Czytelniczko, jest w stanie spędzić sen z twoich powiek i zakłócić spokój małżeńskiego pożycia, gdyż opiszę Ci rzeczy bardzo piękne, bardzo kosztowne, więc niestety dla zwykłych śmiertelniczek niedostępne.

Więc widziałam futra, peleryny z kretów (jedna z nich była podbita turkusowym jedwabiem, miała ją na brokatowej sukni pani Zahorska, wszystko razem— sen z tysiąca i jednej nocy), kloszowe okrycia z kretów, bramowane res-

brnemi lisami, płaszcz automobiliowy z lamparciej skóry i także czapka z daszkiem. okrycie z wiewiórek double-face, jedna strona — sukno z futrzanym kołnierzem, druga — cały futrzany płaszcz, do tego kapelusz z rudych cross'ów. Były płaszcze fokowe, nurkowe, tak puszyste i ciemne, że robiły wrażenie soboli, karakuły bramowane skunksami, eleganckie i praktyczne, niestety niedostępne w cenie. Pokazano również skromny płaszcz z ciemno-zielonego sukna, szeroko bramowany opasami, tworzącymi po bokach sute godety. I szereg okryć balowych z brokatu i felpy, dobrych dla księżniczek z bajki, lub córek miliardarów amerykańskich.

Chustki hiszpańskie pstre, z olbrzymią frendzlą, czarne, haftowane złotem. Była chustka czarna, haftowana w pstre bukiety i pantofelki czarne również zahatowane w miniaturowe bukiety. Były pantofelki ze srebrnej lamy, zdobne w srebrne motylki zamiast kła-



p. Macherska w kapeluszu z velours chiffon.

morek i czarne jedwabne, świecące wyszyciem z brylancików. Były najrozmaitsze fasony lakierków, pantofelek z „maską” (spięcie wycięte w kształcie maseczki), rudy zamsz z brązowym lakierem, czego tam nie było?.. Końce obuwia naogół zaokrąglone, ale były także i krótkie szpice, bardzo awanturnicze dla zgrabnej nóżki. Pończoszki dobrane do koloru sukni lub obuwia, były i czarne, nie znaczy to bynajmniej żeby cieliste pończochy zupełnie miały wyjść z mody, nie panują już co prawda tak niepodzielnie, jak w zeszłym roku, ale panowanie ich trwa i ma przed sobą jeszcze wiele pięknego czasu.

O jedno mam urazę do organizatorów rewji, mianowicie: nie pokazano nam ani jednej wełnianej, lub sukiennej sukni, a przecież zima za pasem, georgette'y dobre były na lato, karnawał daleko i nie wiadomo, czy wobec ciężkich bardzo czasów będziemy zeń korzystały, a tu pokazują nam stroje piękne i fantastyczne, jak opowieść Szecherezady.

A może właśnie chodziło o to, żeby dać publiczności piękny sen o tem, czego być nie może.

W każdym razie nie zaszkodziłoby pokazać parę eleganckich sukien zimowych z prawdziwego zdarzenia.

Najbardziej zbliżona do tego była, demonstrowana przez p. Skalską, suknia z aksamitu koloru kasztana, zrobiona kształtem „beczulki” (tonneau), nazywają ten krój także „à la zouave”. Polega on na tem, że się do wąskiej i krótkiej podszewki przyszywa szerszą i dłuższą górę, lekko przymarszczając. Tworzy to w dole kształt okrągły, przypominający szerokie

tureckie szarawary. Suknia miała długie rękawy, kołnierzyk: mankiety i klapy na kieszonkach z morelowego zamszu ze złotą aplikacją.

Wogóle ozdoby ze skóry są bardzo modne. Była inna suknia z czarnego jedwabiu z szerokim pasem ze złotej skóry.

Bardzo dużo czarnych sukien. Były inkrustowane kremową koronką, haftowane paciorkami, gładka czarna suknia z drapejami z ninon zwała się „najwesejsza”. Model z czarnego marocain z aplikacją z aksamitu z rdzawych liści zwał się — „jesienne liście”, ta suknia miała zabawny fartuszek, pod który można schować ręce, jak w mufkę „jeśli komu zimno”.. jak mówiła uroczą modelką.!

Z prawdziwą przyjemnością zobaczyłam na p. Kościeszance model z czarnego jedwabiu i różowego aksamitu, opisany w „Bluszczu” przed paru tygodniami przez „Sekwę” z Paryża. Jest to bardzo piękna suknia, rysunek i opis dają nie-



p. Balcerkiewiczówna w płaszczu z lamparta



p. Gorczyńska w tualecie amarantowej, cieniowanej i haftowanej brylancikami.

stety bardzo słabe o niej wyobrażenie. Ładna była skromna sukienka z granatowej georgette'y przybrana wstążką cyclamène, haftowaną w pstre kwiatki.

Rewolucyjną mogłaby się stać toaleta pani Macherskiej: stanik z rdzawego aksamitu był obcisły, do niego bardzo wysoko, prawie na linii normalnego stanu była przymarszczona sutą roba ze sztywnego, złotordzawego brokatu. Na głowie stroik w kształcie czepeczka à la Marie Stuart, ze złotej koronki. Był to strój portretowy o linii całkiem odmiennej od współczesności, przywodzący na myśl dogressy Tycjana.

Dużo przybrań na głowy przy toaletach balowych. Panna Gorczyńska miała przy sukni z velours chiffon en tons desgradés od cielistego do amarantowego, diadem ze strassów i pióra rajszych ptaków cieniowane jak suknie. Pani Kamińska miała rodzaj kokosznika z dżetów, pereł i brylantów,

spięty pod brodą szerokim kołnierzem z pereł. Ale najefektowniej wyglądała p. Miła Kamińska w płaszczu z czarnej felpy, podbitym ponsowym jedwabiem i kapeluszu a la boîsaliero z pękiem czarnych piór rajskiego ptaka. Panna Gorczyńska znowu w sukni z zielono-srebrnej lamy i maleńkim srebrzystym turbanie wyglądała jak hurysa z raju Mahometa przejazdem przez Paryż.

Panna Zula Pogrzeńska pokazała rozkoszną kombinację georgette'y pervenche ze srebrnym haftem i szalem z mocno różowego tiulu. A potem sukienkę z takiego brokatu, o jakim śniły królowe Bizancjum, a jak to było tkane czy haftowane, nie da się opisać ani pojąć.

Nie pominę sukni zwanej „rajski ptak”. Na czarnym, matowym jedwabiu, wyhaftowany brylantami olbrzymi rajski ptak. Suknia prosta lekko zadrapowana. Natomiast „tygrysica” pani Ordon była chyba tylko

dowcipnym pomysłem dla zabawienia publiczności. Kawał lamparciego pluszu owija się naokoło figury tak, że tworzy suknię z trenem, suknię z szalem, z kokardą, wreszcie zdejmując się całkiem. Może się to przydać ostatecznie jako sposób drapowania wielkiego, hiszpańskiego szala.

W przerwach, p. Albrecht, właściciel obu Ziemiańskich, częstował zebranych gości wybornymi petit-four'ami, śpiewał Bolcio Kamiński, najmniejszy aktor świata, we wspólnie skrojonym reklamowym fraku, i wreszcie prawdziwy ulubieniec Warszawy, p. Marjan Rentgen, odśpiewał przy akompaniamencie swej nieodłącznej gitary piosenkę „o dobrym tonie”. Rozchodzono się pod bardzo miłym wrażeniem, darząc huczniemi oklaskami wszystkich uczestników widowiska, a zwłaszcza niestrudzonego organizatora, pana Iwanowskiego, który na pożegnanie jeszcze darzył publiczność kwiatami.

W. L.

OD EMPIRE'U DO KRYNOLINY

„Bajadery” i „Marjanny”. Burnusy i mantyle. Szal kaszmirowy—bożyszcze trzech pokoleń. Na co użył Victor Hugo swoje pierwsze honorarium? Ewolucja rękawa. Echa rokoka i toalety à la Pompadour, staniczek à la Montespan. Biały kolor króluje. Krynolina i rogówka. Modne fryzury: chińska, grecka, angielska.

Obowiązkowy dekolt wywołał konieczność dodatkowych osłon w domu i na ulicy. Zarówno klimat, jak konwenans, tego wymagały.

Używano clusteczkowych krawatek, garnirowanych riuszkami z tiulu, t. zw. „Caucous,” albo zarzucano „Bajadere,” drugi, wąski szal z jedwabiu lub koronki. Około roku 1830 wywalczą sobie prawo bytu boa futrzane i zajmuje w toalecie kobiecej miejsce, dotąd niezastąpione. Odgrywa ono rolę potężnego sprzymierzeńca urody, podnosząc smukłość szyi, białosć karnacji, krągłość ramion. Malarze korzystają z tych dekoracyjnych motywów, powtarzając je, aż do znużenia.

Boa z futra, lub z piór strusich, znika dopiero w r. 1840, t. j.



wtedy, gdy panie przestały się dekoltować.

W Wiedniu z powodu wstępu cesarzowej Marjanny do głębokiego wycięcia, wymyślono coś w rodzaju krawatek, przykrywających dekolt i nazwano je „Marjanny.”

Opowiadają, że księżniczka Melanji Metternich wymknęła się pewnego razu złośliwa uwaga, że damy dworskie powinny nosić tylko takie krawatki. Podobno cesarzowa wzięła jej bardzo za złe ten zbyt śmiały żart.

Panowanie olbrzymich rękawów uniemożliwiało użycie płaszcza przez lat dwadzieścia. Surogatem jego są najrozmaitsze zarzutki i peleryny, w Wiedniu rotundy, znane pod nazwą „Wickler”—powijaka.

Moda przynosi burnusy z Algieru, mantyle

z Andaluzyi, krepdeszinowe szale z Wschodu. Nad tym barwnym tłumem egzotycznych przybyszów objał berło słynny szal kaszmirowy, towarzysz nieodłączny naszych prababek, bożyszcze trzech pokoleń, królujące aż do drugiego cesarstwa.

W wyprawie księżnej Orleańskiej figuruje 12 szali: 6 indyjskich, 6 francuskich. Koszt przeciętnego szala wynosił przeszło 800 talarów. Wiktor Hugo chciał za swoje piekne honorarium literackie sprawić szal żonie, ale suma 700 franków, jaką rozporządzał, nie wystarczyła na kupno prawdziwego „kaszmiru,” musiał się zadowolnić francuską imitacją, pochodzącą z fabryki barona Ternaux.

Rok 1830 jest punktem szczytowym i przełomowym w istnieniu rękawa — olbrzyma. Przedewszystkiem znika podtrzymujące go rusztowanie z fiszbinów; zwolna wyrugowuje go, urodzony pod mglistym niebem Albionu węższy

rękaw, składający się z wielu drobnych bufek, wydęty nieco przy łokciu, niżej marszczony lub półotwarty. Ewolucja na drodze zwięzania idzie coraz dalej, aż wreszcie w roku 1844 widzimy rękaw, szczelnie przylegający od ramienia, aż po dłoń.

Gdzie źródło psychiczne tej zmiany? Tam, gdzie koncentrowały się wszystkie marzenia późnego romantyzmu — w przeszłości. Ulubione wówczas bale kostjumowe wskrzeszały czasy Ludwika XIV i XV i oswajały oczy modnych dam ze stylem rokoka, z którego zaczęto chętnie zapożyczać formy, odświeżające skostniałą w rutynie modę.

Suknie rosną wszczegółowo i wzdłuż, gładkie fałdy zastępuje draperja, często rozchylana i ukazująca spód odmiennego koloru. Staniczek à la Montespan ze śpiczastym bawetmem, kasuje obowiązujący dotychczas pasek i łamie okrągłą linię talii.

W sutych, poważnych fałdach opadające suknie wymagają cięższych materji: aksamitu, mory,



adamaszku, zwłaszcza zaś brokatu. Chętnie są też używane przejryste tkaniny na kolorowym jedwabiu. Ulubionym kolorem sukien ba-

lowych, staje się biały. Hrabia Rudolf Apponyi konstatuje w r. 1830, że na balach w Paryżu biel przeważa. W r. 1839 lady Granville wydaje bal, na którym panie mogły być ubrane tylko białe, lub różowe, panowie w białych ineksprymablach i białych kamizelkach z różą w butonierce.

Dzięki licznym fałbanom, piętrzącym się w trzy i cztery rzędy, suknie stały się ciężkie. Aby je podtrzymać zaczęto wszywać w halkę fiszbinę, albo włosie, na których suknie spoczywała, jak na rusztowaniu (crin — włosie, stąd „krynolina”). Z rokiem 1840 wkracza na widownię modnego świata rogówka. W tym samym roku ujrano w Ems książniczkę czeską (zaręczoną z rosyjskim następcą tronu) w krynolinie.

Zmianom w stroju towarzyszy radykalna reforma uczesania. Zamiast pukli, wymykających się zalotnie z pod zwojów blondynowego czepca, zaczesuje się włosy gładko na ciemieniu, z tyłu piętrzy się je wysoko, podtrzymując uczesanie zapomocą olbrzymich grzebieni. Taka fryzura nazywa się chińska. Można się też czesać po grecku, to znaczy w grubych skrętkach zwinąć naokoło uszu gładko zaplecione warkocz, zostawiając na czole zał dwie drobne loczki, „accroche coeur.” Nieco później, około roku 1834 wchodzi w modę półdługie loki ala Hortensja Mancini. W latach czterdziestych wszechwładnie panuje uczesanie angielskie: włosy na dwie strony rozdzielone, przy skroniach długie loki, z tyłu wysoko upięte warkocz.

Tak w ciągu lat piętnastu zmieniała się kolejno sylwetka kobieca. W r. 1815 smukła i wydłużona, w r. 1830 wydęta i kopulasta; w r. 1845 po dziesięcioletnim panowaniu kapryśnej zalotnicy wylania się znowu z fal draperji marzycielska, omdlewająca kobieta.

Spero



ŻYCIE A PRACA

Zależność materialna rodzi poddaństwo.

Dlatego też, wychowując młode pokolenie kobiece trzeba, nie tylko, budzić w niem żądzę niezależności ale przede wszystkim dać mu wręcz skuteczną i umiejętną broń ułatwiającą je zdobycie.

Niewolniczość paczy i wykoleja najszlachetniejsze natury — niezależność, jest najtrwalszym pękłem siły duchowej i indywidualności.

Konieczność uwzględnienia w kształceniu dziewcząt kierunku praktycznego jest dzisiaj nakazem, któremu nikt i nic sprzeciwić się nie powinno.

Kierunkiem praktycznym nie nazywam wtłoczenia młodej, utalentowanej i rwącej się do wszechstronnego rozwoju umysłowości w ciasny krąg zajęć domowych, wyszkolenia się w osiągnięciu pewnej doskonałości kulinarnej, gospodarczej i domowo-administracyjnej. Nie negując konieczności podstawowego i poważnego przygotowania dziewcząt do roli matek, a co zatem idzie żon i strażniczek domowego ogniska, nie mogę, żyjąc w czasach dzisiejszych i będąc jedną z wielu ofiar przedwojennego obskurantyzmu, jaki tak wszechwładnie panował w dziedzinie wychowania kobiecego, nie kłaść nacisku na to najważniejsze, na danie w ręce każdej kobiecie fachu, który uodporni ją tak wobec ludzi, jak i życia.

Kwestja tak zwana kobieca nie stanie dotąd na normalnych i silnych podstawach, dopóki kobieta nie oprze gmachu swej wolności na nienaruszalnych fundamentach materialnych i na wyzbyciu się szkodliwej i zgubnej, a tak wielu z nas właściwej chorobliwej nadczuciowości.

Życie kobiety winno być, jak łożysko zregulowanej rzeki. Głębokie, czyste, wartkie i pracowite. Temi błogosławionymi rękami, które ujmą je w żelazne pęta, niech będą ręce macierzyńskie.

Przedewszystkiem planowe i rozumne wychowanie, a potem, jako konieczny i już naturalny wynik planowe i rozumne życie. Dziewczynce, która jest w stanie młodym swoim umysłem objąć zagadnienia życia, nie wolno powołania jej i posłannictwa zasnuwać jakąś różową mgłą, ani tajemniczością. Tajemniczość zedrą z niej najbardziej niepowołane ręce, pacząc poczucie głębokiej i prawdziwej odpowiedzialności, jaką płeć jej na nią na-

klada i nadając rzeczom poniekąd świętym zabarwienie niezdrowe. Córki nasze powinny wzrastać, w docenianiu odpowiedzialności, jaka na nie spada, winny być pod względem fizycznym chowane na zdrowe matki i dzielne pracownice, duchowo na czyste, silne i niezachwiane kierowniczkę pokoleń, które same chować będą, a pozatem, jako największy skarb, który pozwoli im uniezależnić się prawdziwie, winny zdobywać umiejętność fachowej, produkcyjnej, pożytecznej, a intratnej pracy.

W życiu każdej z nas, prędzej, czy później nadejdzie chwila, kiedy szukać musimy ostoji, kiedy ratując się przed samą sobą potrzebujemy oparcia. Nawet tym, których życie poszło torem na oko normalnym, kochanych i kochających żon i matek, życie na pozór ciepłe i pełne chowa niespodzianki, przeciwko którym uzbroić się trzeba. Sojuszniczką najwierniejszą, lekarzem najgodniejszym zaufania, będzie tu zawsze praca i tylko praca.

Kobieta, która przechowała w sobie pierwiastek poświęcenia, która oparła życie swe na wydawaniu pełną ręką walorów serca i ducha, która przyzwyczaiła otoczenie do przyjmowania ofiary składanej ze siebie co dnia i co godziny, jako rzeczy naturalnej i przynależnej, pod wpływem niesprawiedliwości i egoizmu, których nie zauważa całe lata, a które uderzają w nią naraz obuchem, traci podstawy równowagi moralnej. Staje w obliczu konieczności zastąpienia złud jakimiś żyłami, wartościami realnymi, inaczej bez równoważnika i oparcia bankructwo moralne, zgorzknienie i przedwczesna niemoc starości duchowej są nieuniknione.

Czyż jednostkom, których życie oparte na niezależności materialnej, dzielącym czas swój pomiędzy in-

tratną, wydajną i pożyteczną pracę, a racjonalnie ujęte spełnienie obowiązków serca i umysłu, może grozić zagłada, jakiej pierwiastek nosi w sobie wyolbrzymianie krzywd i uraz, które w bezczynności rozrastają się do gigantycznych rozmiarów? Czy docenia która z matek należycie grozę i niebezpieczeństwo jakie czyha na jej córkę, jeżeli wejdzie w życie, budując gmach swej egzystencji na uczuciu i tylko na uczuciu, a wreszcie, czy spoglądamy trzeźwo i racjonalnie na kwestję materialną, jako na siłę, która bezspornie gra wielką rolę w dodatnim, lub ujemnym pożyciu małżeńskim? Czy zgłębiamy należycie niesprawiedliwość narzucenia mężczyźnie roli białego murzyna na szereg dni, których kresem rozwarła mogiła, dlatego tylko, że miał „szczęście“, przed laty nazwać jedną z nas swoją żoną?

W okresie ciąży, porόδów i odchowывania dzieci praca między małżonkami jest nie tylko równa, ale nawet ze strony kobiety intensywniejsza i bardziej wyczerpująca.

Zaniedbywanie obowiązków, które przyjmuje na siebie w tym okresie kobieta, nakorzyść pracy zarobkowej, o ile ta nie jest koniecznością, byłoby lekkomyślne i nieracjonalne.

Inaczej przedstawia się sprawa w małżeństwach bezdzietnych, lub tych, z których gniazda wyfrunęły pisklęta, pozostawiając rodziców w pełni sił i zdrowia. Czy licuje wówczas z godnością kobiety dzisiejszej rola pasożyta, żywiącego się sokami czerpanymi z trudu i pracy jednostki, która na równi z nią zasłużyła już na wytchnienie?

Te, co wzrastają w latach ostatnich, winny przynieść ze sobą w życie zrozumienie, głębokie przeświadczenie tej sprawy, i nieodzowną umiejętność stanięcia przy warsztacie zarobkowej pracy. Największą bolączką kobiet których młodość przypadła na czasy przedwojenne a które dzisiaj są jeszcze silnie zdrowe, jest brak przygotowania do pracy zawodowej. Wiemy o tem wszystkie, że jedna doskonale wyszkolona rękodzielniczka, łatwiej da sobie radę i pożyteczniejszą będzie krajowi i społeczeństwu, niż najliczniejsze zastępy jednostek o „wrodzonej wysokiej inteligencji“, subtel-nem uduchowieniu, „a bez żadnego realnego przygotowania do życia i pracy. Z jednostek takich okoliczności stwarzają bohaterki. Mówi się o nich, niejednokrotnie, z podziwem, że pomimo wszystko dały sobie radę. Są to jednak nieliczne



wyjątki. Jeżeli życie powojenne ma iść równem normalnem korytem, a kraj wskrzeszony cudem, trwać nie cudem już, a siłą rzeczy, nie wolno wychować ani jednej jednostki, któraby nie wносиła w życie przeświadczenia, że praca jest udziałem wszystkich bez różnicy hierarchji, płci i skali materialnego wyposażenia, praca wykonywana umiejętnie, fachowo i traktowana, nie jako malum necessarium, ale jako źródło najwyższego dobra i najświętszego obowiązku.

Gawędząc kiedyś o szarej godzinie z osobą, która datą narodzin należy do świata przeszłości, a która goręcej niż wiele młodych idzie naprzód myślą i duchem, usłyszałam od niej zdanie, jakie winno się ryc złotemi zgłoskami, w u nysłach ogółu:

„Gdyby w kraju naszym obłożono podatkiem od zbytku wszystkie zdrowe i silne jednostki, żyjące w gnuśnej beczynności, skarb Państwa nie sięgałby celem zachowania równowagi budżetowej, po pieniądź zagraniczny, a źródło naturalnego bogactwa każdego kraju, bogactwa utajonego w produkcyjnej pracy wszystkich i każdego, trysnęłoby i u nas złotodajnie”.

Oto wskazówka dla matek, które kształcą przyszłe pokolenia.

N. k.

WYSTAWA ROŚLIN

wybudowanych przez dzieci szkół powszechnych.

Co widzi dziecko miejskie zamknięte w ciasnych murach: brudne podwórko, skrawek nieba gdzie wysoko i nieco suchotnicznych krzewów, stanowiących ogródek w pierwszym dziedzińcu — studzien najnowszych, komfortowych domów. Gdy wyjdzie na ulicę czuje chęć nieprzemogłą oberwania z liści, rosnących tam drzewek, w ogrodach publicznych niszczy z rozkoszą kwiaty i trawniki, o ile się do nich dorwie. Ukochanie natury, poszanowanie dla jej najpiękniejszych wytworów — roślin, ma zamiar rozwijać w dziecku miejskiem Koło Miłośników Ogrodnictwa przez uczenie tego dziecka pielęgnowania roślin pokojowych. Koło Miłośników Ogrodnictwa przy Towarzystwie Ogrodniczym War-



szawskiem z prezesem p. Schönfeldem na czele, a głównie Sekcja Zdobienia Szkół roślinami z przewodniczącą panią inżynierową Zielińską, rozdają szkołom nasiona, sadzonki, roślinki całe; rozdawnictwo to ma miejsce wiosną. Dzieci pod kierownictwem nauczycielek pielęgnują te roślinki, na czas przerwy wakacyjnej rozbierają je do domów; z jesienią rezultaty tej pracy gromadzone są na wystawie w Towarzystwie Ogrodniczym na Bagateli. Tegoroczna wystawa wykazała duży postęp — około paruset dzieci otrzymało z rąk pani prezydentowej Wojciechowskiej nagrody w postaci roślin, stanowiących już prywatną własność każdego z nich. Szkoły otrzymały zbiorowe nagrody w postaci książek ogrodniczych i dzieł historycznych, kilka poszczególnych kierowniczek, najbardziej oddanych pracy nad dziećmi w kierunku rozwijania w nich miłości do roślin, ładne palmy i inne trwałe rośliny. W szczególności szkoły Nr. Nr. 158, 29, 36, 25, i 79 dostały pierwsze nagrody, szkoły Nr. Nr. 61, 30, 119, drugie, a szkoły Nr. Nr. 75, 153, 169, 45, 66 i 144 trzecie nagrody. Zarząd Koła Miłośników Ogrodnictwa zwraca się z prośbą do osób dobrej woli, rozporządzających chwilami wolnego czasu i interesujących się rozwojem hodowli roślin w szkołach, aby zechciały im dopomóc w pracy, podejmując się periodycznego odwiedzenia tych szkół w okresie hodowlanym, (wiosna od marca, lato i wczesna jesień). Łaskawe zgłoszenia należy kierować do Towarzystwa Ogrodniczego, Bagatela 3.

Pani Elżbieta.

Napoje i słodkie dania dla chorych

Orzeźwiająca dla chorego jest woda chlebowa zrobiona z chleba razowego lub pyłkowego, pokrajanego cienko i zrumienionego z obu

stron, jak na grzanki. Grzanki te zalać wrzącą wodą, dodać skórki cytrynowej dla zapachu, a po wy studzeniu przecedzić przez sito — można dodać do tej wody trochę cukru, soku z cytryny i lekkiego wina. Przyrządza się też wodę z jęczmienia pożywną i zdrową. 10 deka wyplókanego jęczmienia gotować w litrze wody z cienko okrojoną skórką cytryny lub pomarańczy przez godzinę. Przecedzić następnie przez sitko gęste, zaprawić sokiem malinowym i dawać chłodne do picia. Doskonałą także jest woda jabłkowa, ugotowana z sześciu jabłek renet lub bursztówek. Rozkroić każde jabłko na 4 części, odrzucić środki i gotować w litrze wody ze skórką jednej cytryny przez pół godziny. Przecedzić płyn — ocukrzyć, a jeśli lekarz pozwoli, dolać trochę białego wina. W niektórych chorobach chorzy zalecone mają picie wina korzennego, przyrządza się je w sposób następujący:

Do litra wina czerwonego dodaje się kawałek cynamonu, 6 goździków, 1/4 kilo cukru otartego o skórkę z cytryny — zagotować, przecedzić i pić gorące. Chłodzącym i miłym bardzo napojem jest sos z ugotowanych śliwek suszonych, których pół kila dobrze wymytych w najlepszym gatunku zalać litrem wody i rozgotować ze skórką mandarynki. Następnie przecedzić, przefiltrować przez watę, osłodzić w miarę potrzeby i chłodne dać do picia. Kompoty dla chorych przeciera się zawsze i podaje w formie rzadkiej marmelady, jabłka podaje się albo przetarte, albo pieczone. Owinięte w umaczany w wodzie biały papier sztetyny zielone, rapy lub renety — nie mówiąc o najlepszych ze wszystkich kuchennych jabłkach antonówkach, piecze się pod blachą lub w gorącym popiele — uważając żeby się nie wypiekły. Jak gotowe, odwinąć z papieru i podać choremu gorące z cukrem — pudrem.

Ze wszystkich leguminek najpożywniejsze są wszelkie kisielki i galaretki. Galareta zrobiona na smaku, wygotowanym z nówek ciętych bez soli, odpowiednio składowana i doprawiona sokiem, lub winem, stanowi pożywną, orzeźwiającą i smaczną dla chorego podanie. Z pomarańcz wyciska się sok i ocukrzyć lub naturalny podaje się choremu.

J. S.



W SEZONIE ZWIERZYN

Polska nie obfituje w zbytnią obfitość zwierzyny. Na wsi na Kresach szczególnie jada się jeszcze, chociaż coraz rzadziej, sarny i łosie, dziki — ba nawet niedźwiedzie (szynki i łapy) — cietrzewie, kaczki dzikie, bekasy i przepiórki. Warszawa tego prawie nie widzi, jeżeli się trafi jaka rzadsza zwierzyna, to jest na wagę złota, zresztą zabierają ją przeważnie restauracje.

Zimą czasem można mieć sarninę i kwiczoły, jesienią kuropatwy i zające. Otóż te zające, na wschodzie, w Rosji, w zupełnej pogardzie będące, są u nas jedyną mniej więcej dostępną zwierzyną i należy je umieć prawdziwie dobrze przyprawić, dania z nich jaknajbardziej urozmaicić.

Przedewszystkiem więc należy, na piecyste szczególnie, gdyż pasztet można zrobić i ze starszej sztuki — wybierać zająca młodego. Nie potrzebuje on dlatego wcale być mały. Zające z wiosennego łęgu są jesienią równie duże, jak stare, a mięsa mają nieporównanie więcej i jest ono delikatniejsze. Młodego zająca można poznać po okrągłych uszach, stare mają końce uszu nieco zastrzone, i po łatwo się przełamujących, kruchych kostkach skoków zadnich.

Zające w skórze można długo przechowywać, wieszając za tylne skoki, na balkonie, lub za oknem. Całymi tygodniami, a w czasie mrozów i miesiącami, może zając tak wisieć, nie zmieniając smaku mięsa, skórka natomiast traci zupełnie swoją wartość, sierść się staje niemocna, spieniężyć ją jest prawie niemożliwe, kto się więc ze wszystkim rachuje i skórki zającą chce sprzedać, musi ją zdjąć w dni parę po nabyciu zająca, samego zaś zająca można jeszcze na dni kilka zamarynować, gdyż przechowywany bez skóry smak traci — wietrzeje.

Jada się u nas zające przeważnie pieczone i duszone potem w śmietanie, prawie zawsze w akompaniamencie tradycyjnych buraczków. Jest cała masa konserwatystów smakowych, którzy innego podania nie rozumieją i nie uznają. Poza tem znany jest zając w śmietanie na zimno, (nawiasem mówiąc w warszawskich handlach gastronomicznych pod nazwą śmietany figuruje jakaś papka mączna, powiększająca w dwójnasób rozmiar każdego kawałka) i z pobieglisze gospodynie robią pasztet z przodków zajączych, używając nań tylko karku, żeberka i łopatek zajączych, a starannie odrzucając wnętrzności i łeb, dające najwięcej smaku. W mieście, gdzie zająca się jada

raz na tydzień, lub raz na parę tygodni, te sposoby podawania oczywiście są zupełnie wystarczające.

Na wsi, gdzie nieraz o świeże mięso trudno, a zajęcy jest obfitość, większe urozmaicenie dań jest pożądane:

Młode, świeże bardzo zające, po dokładnem wymoczeniu, nawet bez marynowania można piec na rożnie, lub pod blachą, polewając tylko masłem, osypując je na dopieczeniu bułeczką i podając z ćwiartkami cytryny i jakąś jesienną zieloną sałatą, zaprawioną tylko oliwą z octem.

Tak przyrządzony zając ma smak zupełnie odrębny i bardzo wykwintny. Obok zająca na zimno w śmietanie, można go przyrządzić w galarecie, przyczem wprawia się go pieczone, zdejmując z kości, z kości tych gotuje z włoszczyzną smak na galaretę, którą po sklarowaniu zaprawia się żelatyną, jak zwykle. Chcąc podać taką galaretę bardziej wykwintnie, należy kawałki zająca przełożyć kawałkami pasztetu z przodków zajączych, grzybkami, korniszonami, jarzynkami ładnie pokrojonemi, gałązkami zielonej pietruszki, plasterkami cytryny bez białej i żółtej skórki i dopiero wtedy zalać galaretą.

Bardzo łatwym zużyciem zająca jest zrobienie zeń zwykłych, rąbanych kotletów, przyczem pozostałe kości używa się na barszcz szary, lub na zupę purée, tak zwaną myśliwską.

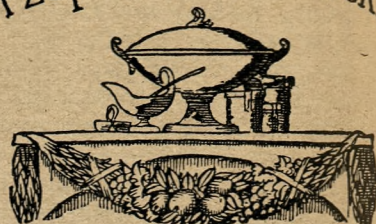
Kotlety się robi jak każde inne mięsne kotlety, dodając nieco gałki muszkatołowej dla zapachu. Okłada się niemi każdą jarzynę, przedewszystkiem jednak tradycyjne do zająca buraczki.

Kto niema zamiaru robić pasztetu z przodków zajączych, może je zużyć na wyborną angielską potrawkę, dusząc w zakrytem naczyniu wraz z krwią, wnętrznościami, słoninką, korzeniami i winem czerwonym, do tego osmażane grzanki. Pozostają jeszcze pasztety gorące i zimne, te ostatnie zwane „pain de gibier“, lub „pain de lièvre“ można robić z dodatkiem wątróbki cielej lub młodej, wieprzowej, co znakomicie powiększa ich objętość, smak i aromat zwierzyny pozostaje.

Pasztet zimny można robić układając formę plastrami słoninki, lub też cienko rozwałkowanym kruchem ciastem. Już gotowego pasztetu można używać do nadziewania naleśników i wszelkiego innego rodzaju pasztecików w cieście listkowym, francuskim i drożdżowym

Pani Ełżbieta

Przepisy gospodarskie



SUCHARKI PAPIESKIE

Zważyć dziesięć jaj wraz ze skorupkami i wziąć tyle, ile zaważą cukru i tyleż najlepszej, suchej mąki pszennej. Żółtka ucierać z cukrem do białości, dosypywać po łyżeczce mąki, aż się wszystko użyje. Klasycznym zapachem do tych sucharków jest anyżek, można jednak zamiast niego dodać kilka gorzkich migdałów tłuczonych lub nieco najdrobniej pokrajanej skórki cytrynowej. W końcu dodać sztywno ubitą pianę z białek, mieszać jeszcze tak długo, aż pęcherze na cieście zaczynają się pokazywać. Wlać na blachę wysmarowaną białym woskiem lub śmietankowym masłem, wstawić w niezbyt gorący piec. Gdy się lekko zrumieni i ciasto po próbie słomką lub cienkim drewnianym jest upieczone, wyjąć. Gorące jeszcze kraje się ostrym nożem, układa na płask na blasze i suszy w letnim piecu. Doskonałe, lekkie pieczywo dla osób słabych na żołądek, dzieci i rekonwalescentów.

SALATY JESIENNE

Główkę czerwonej kapusty uszatkować, sparzyć wrzątkiem, potrząsnąć tak pięć minut, zlać na sito, osolić, posypać paru łyżkami cukru, skropić obficie dobrym octem, mieszać drewnianą łyżką, aż nabierze ładnego, amarantowego koloru. Ugotować 200 gramów (pół funta) białej fasoli, po ugotowaniu lekko osolić, wsypać do kapusty. Oddzielnie ugotować bardzo duży seler, lub dwa mniejsze, w łupinkach, gdy miękkie obrać z łupinek, pokrajać w cienkie plastry, ułożyć na salaterce rzędami kapustę z fasolą i seler, zalać wszystko dobrą oliwą i gdyby było mało kwaśne, dodać jeszcze trochę octu. Niech tak przyrządzone postoi trzy do czterech godzin przed podaniem.

Ugotować w łupinkach kilo kartofli, obrać póki gorące, pokrajać w cienkie plastry, układać na salaterce rzędami z dobrą kwaszoną kapustą, kapustę skrapiać oliwą, a kartofle lekko solić i polewać rosołem z kapusty. Posypać wszystko łyżką cukru. Niech tak stoi ze trzy godziny. Przed samem podaniem dokładnie wymieszać.

Ugotować 40 deka (funt) białej grubej, cukrowej fasoli, zlać i ostu-

dzić. Dwa duże, kwaszone ogórki obrać i pokrajać w cienkie plastry. Łyżkę musztardy utrzeć z łyżką cukru, dodać dwie łyżki oliwy, ucierać aż zbieleje, dodać dwie łyżki dobrego octu i filiżankę rosołu ogórkowego, nalać tem zmieszane fasolę i ogórki i trzymać tak zalane parę godzin przed podaniem.

PIECZEŃ BARANIA AMATORSKA

Młodą pieczeń baranią obrać z wszelkiego tłuszczu, zdjąć z niej całą skórę i natrzeć po wierzchu drobno utłuczonymi goździkami, (10 sztuk na zwykłą pieczeń starczy). Niech tak poleży doba na chłodzie, poczem się ją soli, układa na blasze i piecze na razie smarując masłem, potem polewając nieco wodą, lub rosołem, a nakoniec sosem jaki z siebie wypuści. Gdy już zupełnie upieczona, polewa się ją jeszcze kwaterką najgęstszej, kwaśnej śmietany i dusi z kwadrans w tej śmietanie, kilkakrotnie nią polewając, pieczeń się kraje w ładne, cienkie zrazy, układa na półmisku, okłada smażonymi kartofelkami, brukselką, duszonymi buraczkami, duszonymi cebulami i wszelkimi jarzynkami, odpowiednimi do baraniny, lub odgotowanym makaronem, sos zaprawia się łyżką maki, zagotowuje, rozprawdza wodą lub rosołem do należytej gęstości, częścią tego sosu polewa się pieczeń, resztę podaje w sosjerce. Jak każdą baraninę należy tę pieczeń podać bardzo gorącą.

Pani Elżbieta.

DOBRE RADY

Aby drób, przeznaczony do użycia na prędcę, skruszał, trzeba zaraz po zabiciu zanurzyć go na kilka minut w bardzo zimnej wodzie. Można powtórzyć taką kąpiel w coraz zimniejszej wodzie.

* * *

Drobieu nie należy parzyć, tylko skubać zaraz po zabiciu. Parzony traci smak, zwłaszcza kurczęta, które robią się łykowate i dzielą na nitki.

DR. MED.

J. ŚWITALSKA

Choroby skórne, kosmetyka, wener.

Wyłącznie dla kobiet od 5—7.

KRUCZA № 31, mieszkania 3.

Telefon 102 77.

Korespondencje działu praktycznego

Do moich czytelniczek „Bluszczu” na prowincji.

Otrzymałam list następującej treści, który w całości podaję.

Szanowna Pani Doktorze!

W ostatnim numerze „Bluszczu” przeczytałam ogłoszenie o „Moim Kremie”, gdzie jest powiedziane, że należy się zgłaszać po „Mój Krem” do miejscowych aptek, gdyż przesyłka jednego słoika podnosi cenę kosztu.

Otóż zwracam uwagę Sz. Pani Doktor, że odsyłanie klientek do składów aptecznych i aptek miejscowych z żądaniem sprowadzenia „Mego Kremu” nie jest słuszne.

Podczas mojej bytności w Warszawie kupiłam sobie 2 słoiczki kremu—jestem nim poprostu zachwycona. Po zużyciu poszlę znowu po krem do Warszawy z tych przyczyn:

Po pierwsze nie chciałabym żeby w małym miasteczku, w którym wszystko się wie i aptekarza tajemnica nie obowiązuje, wiadano, że używam „Mój Krem”, a po drugie byłoby mi przykro, żeby tak cudowny środek używały inne panie z naszego miasteczka, które przedtem nigdy „Bluszczu” nie czytały. (Jestem stałą abonentką „Bluszczu” od 1½ roku).

Pani Doktor nie zna stosunków na prowincji—jest to takie morze plotek, o jakim panie, przyzwyczajone do kultury wielkiego miasta, nie mają pojęcia. U nas całe mia-

stecko nasze wiedziałyby, że pani X. Y. marnuje grosz, przez męża ciężko zapracowany, na kosmetyki, upiększania się, odmładzanie i t. p. pomimo, że te, które najwięcejby mówiły o tem ze zgorszeniem, same ukradkiem sprowadzałyby „Mój Krem” z Warszawy jaknajrychlej!

Zdaje mi się, że ten pogląd mój na sprawę, będzie podzielało wiele pań z prowincji, wobec czego zwracam się do Pani Doktor z prośbą, by zechciała nadal wysyłać „Mój Krem” dyskretnie na prowincję, dla uniknięcia niepotrzebnych przykrości i plotek.

Stała prenumeratorka „Bluszczu”.

List ten bez komentarzy podaję do wiadomości, z prośbą, by Panie, podzielające zdanie autorki tego listu, udawały się nadal po „Mój Krem” do Warszawy.

Do moich pacjentek z prowincji.

Otrzymuję codziennie listy z prośbą o wysłanie „Mego Kremu”. Ponieważ koszt słoika powiększa się przez opłaty pocztowe, opakowanie, może pacjentki moje zechcą żądać w aptekach miejscowych, aby te sprowadziły Krem z Warszawy od Karpińskiego, Elektoralna 35.

W artykule moim z dziedziny kosmetyki, w ostatnim październikowym numerze, zakradła się omyłka, a mianowicie: tam, gdzie jest podane że „na codzienne zabiegi higieniczne i kosmetyczne poświęcić musimy godzinę rano i wieczorem”—powinno być „godzinę rano lub wieczorem”.

Do Czytelniczek „Bluszczu”.

Zwracam ponownie uwagę Sz. Pań, że odpowiadam na pytania jedynie na łamach pisma. Listy zaś i recepty posłane do domu, traktuję jako wizytę lekarską i odpowiadam tylko po wysłaniu honorarjum w kwocie 20 zł.

Pani Łobzowiance.

Na ręce doskonale nadaje się Krem ogórkowy Karpińskiego, chodzi tylko o stałe używanie 2 razy dziennie. Przy częstem moczeniu rąk należy poatem ręce wycierać kilkakrotnie gliceryną ze spirytusem i sokiem cytrynowym. Po wytarciu natychmiast zmyć wodą i dobrze osuszyć.



Proporcja: Pół cytryny wycisnąć, 100 gr. gliceryny, 50 gr. spirytusu. Ilość taka powinna starczyć na 10 dni.

Pani Izolda.

Jak dobierać farbiki do ust i róż na policzki napiszę w następnych odpowiedziach.

M. F. Pączewo.

Naturalnie stare blizny po tylu latach b. trudno jest rozgładzić, ale niema mowy o tem, by masaż mógł zaszkodzić—tylko już nie może pomódz.

Jednakże ponieważ nigdy nie trzeba tracić nadziei, dlatego też próbowanie masażu zaleciłam Pani, jako jedyny środek, bo innych niema. Lecz, że potrzeba w masażu twarzy zawsze indywidualizować, więc zaobserwowane przez Panią ruchy z dobrymi skutkami należy kontynuować.

E. F. Włoszczowa.

Odpowiedzi podaję tylko do „Bluszczu” — listownie odpowiadam jedynie moim pacjentkom, które przedtem chociaż jeden raz badałam, a zatem mam notatki o ogólnym ich stanie. Przytem odpowiedzi listowne traktuję jako wizytę lekarską za pobraniem uprzednim honorarjum w sumie 20 zł.

Z. G. Gar.

List wysłany.

M. K.

Cierpienie Pani trwa już od lat 10-ciu, więc jest nie do pomyślenia, by bez zobaczenia i skrupulatnego zbadania całego organizmu zawiadomować diagnozę i dać skuteczną radę. Jestto jednak, sądząc z listu wypadek złośliwy i nie należy opóźniać i tak już bardzo spóźnionej kuracji.

P. Schöpp.

Na falowanie włosów żadnego płynu niema.

Co do wypadania włosów, to Pani nie podaje żadnych szczegółów, więc i poradzić nic się nie da. Odsyłam tymczasem Panią do mego artykułu o pielęgnacji włosów—znajdzie Pani tam ogólne wskazówki.

Olga Hl. Łódź.

Ręce i twarz trzeba myć na noc w bardzo gorącej wodzie, następnie opłókać w zimnej, osuszyć

i wetrzeć „Mój Krem”. Rano myć w letniej wodzie, wetrzeć cdrobinę kremu i twarz lekko zapudrować pudrem Karpińskiego. Dwa razy tygodniowo wycierać twarz spirytusem rezorcynowym 2% przed posmarowaniem kremem.

P. K.

Można spróbować stosować na dłonie i palce plaster salicylowy na noc — rano nacierać ręce kremem Arbotherna Dr. Vieganda, dostać można w składzie aptecznym Brudnickiego, Krucza 34.

A. K. Toruń.

Na rozjaśnienie włosów, po uprzednim umyciu, spłókać: na miednicę wody — 2 litry silnego naparu rumianku i 4 łyżki wody utlenionej.

W tej ilości woda utleniona nie szkodzi na włosy. Jeżeli to nie pomoże, pozostaje farba.

* * *

Redakcja „Bluszczu” odpowiada stałym Czytelniczkom na wszelkie pytania dotyczące życia domowego, gospodarstwa, mód, robót i t. d. Listy należy adresować do redakcji działu praktycznego, załączając znaczek pocztowy na odpowiedź i dokładny swój adres.

Na listy anonimowe, względnie bez adresu, Redakcja odpowiadać nie będzie.

TABELKA przeciętnych miar

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. rękawów	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

Przy zamawianiu trzeba wymienić wielkość (I, II, III lub IV) podług załączonej tabelki miar.

Odpowiedzi są załatwiane kolejno, a wobec wielkiego napływu listów nie zawsze mogą być umieszczone w najbliższym numerze „Bluszczu”.

Opis sukien i robót do Nr. 47

896. Suknia welwetowa, przybrana haftowanym galonem i futrem.

897. Palto z brązowego sukna, przybrane bibretami.

898. Palto ciemno popielate, przybrane futrem.

899. Kostjum granatowy, przybrany futrem.

900. Suknia z fioletowej wełny. Pasek ze złoczonej skóry.

901. Suknia popelinowa, przybrana gipiurą.

902. Suknia z rudo-brązowej wełny, z karbowanym przodem.

903. Wełniana suknia, przybrana haftem.

904. Ubranko dla dziesięcioletniego chłopca.

905. Ubranko dla chłopca czternastoletniego.

906. Bluzka z koralowego sukienka, zapinana na guziczki.

907. Bluzka z surowego jedwabiu, przybrana guziczkami.

908. Skromna bluzeczka z flaneli, lub wełny.

909. Bluzka z jasnego sukienka z ciemniejszymi plisami.

910. Bluzka popelinowa, drapowana z przodu.

911. 912. 913. Trzy skromne, codzienne kapelusiki.

914. Wzór na poduszkę. Haft kolorowy

915. 916. 917. Trzy wzory na kołnierzyki. Wielkość naturalna.

UWAGA: Powiększone wzory robót, umieszczonych w Dodatku Mód, można nabywać w Administracji „Bluszczu” po cenach następujących: obrus — makata — ekran zł. 2.50; poduszka — serwetka zł. 1.50; drobne desenie gr. 75.

Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy w ciągu trzech dni po cenach następujących: palto lub suknia fantazyjna . zł. 3.50
suknia zwyczajna 2.50
bluzka 2.00
formy dzieciinne 2.00
bielizna 1.50

Korespondencję, dotyczącą mód i robót, należy kierować oddzielnie do Redakcji dodatku mód. Zamówień nie należy skutecznie na blankietach czekowych P. K. O